



Alison Roberts



Dziecko miłości

Tytuł oryginału: Her Baby out of the Blue



ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Wiesz, chyba ją znaleźliśmy.

Dylan McKenzie wyprostował się na krześle. Serce zaczęło mu szybciej bić, kiedy spostrzegł znajomą sylwetkę. Na cichy dźwięk jego głosu trzymane w ramionach niemowlę poruszyło się, ale na szczęście nadal spało. Mała Sophie wykazała się równie dużą cierpliwością jak on, choć oczekiwanie, aż Jane Walters odpowie na sygnał pagera, trwało wieki.

Właściwie go to nie zdziwiło. Nie wchodzi się na ostry dyżur i nie żąda, by chirurg natychmiast przyszedł tu z sali operacyjnej. Nawet jeśli sprawa jest tak ważna jak ta. Nie mógł też sam do niej podejść i przedstawić się w środku zatłoczonej izby przyjęć. Musiał poczekać, aż przedstawi go siostra dyżurna, śliczna Mandy, która i tak już okazała życzliwość, pozwalając mu poczekać w jednym z pustych pomieszczeń za parawanem. Próbował przyciągnąć jej uwagę i pokazać, że kobieta w stroju chirurga, która energicznym krokiem przekracza właśnie próg izby, to osoba, na którą czekał.

Mandy jednak pochylała się akurat nad starszą kobietą leżącą na wyniesionych z karetki noszach.

– Czy teraz odczuwa pani ból w piersi? – wypytywała.

– Niewielki. Nie ma się czym przejmować.

– Pacjentka dostała pięć miligramów morfiny – poinformował pielęgniarkę ratownik.

Dylan spojrział jeszcze raz na wchodzącą do izby przyjęć lekarzkę. Czy to naprawdę ona? Wyglądała na trzydzieści pięć lat, spod chirurgicznego czepka wysunął się kosmyk włosów, ale nie całkiem przypominała osobę, której zdjęcie miał w kieszeni, tuż obok paszportu i zmiętej karty pokładowej.

Strój maskował figurę, ale wątpliwości wywołało raczej zachowanie tej kobiety. Dylan miał wrażenie, że na co dzień ubiera się bardzo elegancko. Zapewne w wąskie czarne spódnice i dobrze skrojone żakiety. Na pewno nosi wysokie buty. Czarne, na szpilkach.

– Przewieźmy ją do sali reanimacyjnej numer dwa. Zdaje się, że jest teraz wolna – zdecydowała Mandy, po czym odwróciła się, by sprawdzić, czy sala jest dostępna. Najwyraźniej spostrzegła nadchodzącą lekarkę, bo zerknęła na Dylana i skinieniem głowy dała mu znak, że jak tylko upora się z pacjentką, zajmie się jego sprawą.

A więc to jednak ona, chociaż kobieta na zdjęciu wygląda zupełnie inaczej. Tamta była ubrana w podwinięte do kolan dżinsy, stała boso na drobnym złotym piasku, włosy opadały jej na ramiona, a jej twarz – i to była największa różnica – rozpromieniał uśmiech.

Teraz kobieta się nie uśmiechała.

– Doktor Walters! – zawołała Mandy.

Jak to często bywa, pielęgniarka nie zwróciła się do niej per „pani” czy „panno”, więc Dylan nie mógł wywnioskować, jaki jest jej stan cywilny. Czy w domu czeka na nią mąż? Dzieci? Dlaczego nie przyszło mu do głowy zapytać Josha o te szczegóły? Dylan westchnął mimo woli, odsuwając od siebie wspomnienia, na tyle świeże i bolesne, że mogły wytrącić go z równowagi.

Nie słyszał, co mówiła Mandy, ale było oczywiste, że informowała doktor Walters o jego przyjsciu. Może dodała też, że gość bardzo długo czeka. Kobieta obrzuciła go baczny spojrzeniem i zmarszczyła brwi. Pewnie jest niezadowolona, że coś takiego odwołało ją od obowiązków. Widać było, że stara się przypomnieć sobie, czy kiedyś nie poznała niezapowiedzianego gościa i podjąć odpowiednią dla tej sytuacji decyzję.

Dylan wyczuł, że za chwilę zostanie odprawiony z kwitkiem. Nie mógł do tego dopuścić, więc zrobił coś, co niemal zawsze przynosiło zamierzony skutek.

Uśmiechnął się do niej.

Kto to u diabła jest? Nieczęsto widywała w izbie przyjęć młodych atrakcyjnych mężczyzn, uśmiechających się do niej, jakby... jakby sam jej widok ich uszczęśliwiał. Ten miał o wiele za długie kręcone włosy, ubrany był w czarną koszulkę i znoszoną kurtkę z czarnej miękkiej skóry. Dżinsy na kolanach wyblakły do białości, a wystające spod nich zniszczone buty wyglądały na kowbojki. Pewnie w uchu miał złoty kolczyk.

W bardzo naturalny sposób trzymał w ramionach dziecko, ale jeszcze naturalniej prezentowałaby się w jego rękach gitara. Jane wyobraziła go sobie przy ognisku rozpalonym przy cygańskim wozie. W jej gronie znajomych nie znalazłby się nikt podobny do niego.

– Powiedział, że mnie zna?

Mandy skinęła głową.

– Przyszedł z niemowlęciem, dziewczynką. Nazywa się Sophie i ma około czterech tygodni. Śliczny bobas.

– Czy dziecku coś dolega? – Czyżby to był ojciec którejś z jej małych pacjentek? Nie. Do ostatniego noworodka wezwano ją parę tygodni temu. Był to chłopiec z rozszczepieniem podniebienia, na tyle dużym, że utrudniało to karmienie.

– Nie. – Mandy potrząsnęła głową. – Tak mi się przynajmniej wydaje. Powiedział tylko, że koniecznie musi się z tobą zobaczyć.

– Jak długo czeka?

– Dwie godziny? Zadzwoiłam na oddział, jak tylko się zjawił, ale właśnie zaczynałaś operować.

Długa skomplikowana operacja, kolejny wysiłek w wypełnionym pracą dniu, po którym tak bolały ją wszystkie mięśnie, że miała wielką ochotę wziąć gorący prysznic i zrobić sobie dłuższą przerwę. Nie mogła sobie jednak na to pozwolić. Czeka ją jeszcze obchód, który zapewne potrwa do ósmej wieczór.

– I pozwoliłaś mu zajmować pomieszczenie w izbie przyjęć tyle czasu?

– Ale on tak bardzo... Nie wiedziałam...

Jane mimowolnie zacisnęła wargi. Pewnie się uśmiechnął, a Mandy nie mogła się oprzeć takiemu uśmiechowi. Tylko dlaczego przyniósł tu dziecko?

Jane znów na niego zerknęła i to był błąd. Nie знаła tego człowieka. Z niewiadomego powodu skłamał, by się z nią zobaczyć, a teraz siedzi tu, zajmując cenne pomieszczenie w pełnej pacjentów izbie przyjęć. Na dodatek uśmiecha się bez śladu skruchy na twarzy. Może i jest czarujący, ale przede wszystkim nieodpowiedzialny.

– No dobrze – warknęła. – Porozmawiam z nim. Powie mu coś do słuchu. Wyjaśni mu, że lekarze w tym szpitalu są bardzo zajęci. Stale brakuje pielęgniarek. Zajmowanie pomieszczenia przeznaczonego dla pacjentów w potrzebie jest co najmniej utrudnieniem pracy szpitala. Co on sobie wyobraża?

Gdy Jane do niego podeszła, nadal się uśmiechał.

– Cześć – powiedział.

Jane milczała. W myślach dała mu trzy sekundy na wytłumaczenie swojego postępowania. A jeśli mu się to nie uda, wyładuje na nim całą nagromadzoną przez tydzień frustrację i napięcie. Wzięła głęboki oddech, przygotowując się do ataku.

– To jest Sophie – powiedział nieznajomy, przysuwając do niej dziecko.

– Twoja córka.

ROZDZIAŁ DRUGI

– Słucham?

Jane gwałtownie zaciągnęła za sobą zasłonę. Mandy patrzyła w jej stronę, ale stała zbyt daleko, by usłyszeć to niezwykle oświadczenie. Pomieszczenie za kotarą nagle stało się ciasne. Znajdowała się tu wąska leżanka i krzesło. Obok krzesła na podłodze stał dziecięcy fotelik samochodowy z rączką, a w nim torba z pieluchami. Resztę przestrzeni zajmował mężczyzna z dzieckiem.

– Co takiego?

– To jest Sophie – powtórzył nieznajomy ciszej. – Sophie McKenzie – ciągnął. – A ja jestem Dylan McKenzie. Mój starszy brat miał na imię Josh i był mężem...

– ...Izzy – głucho dokończyła Jane.

Zapadła krótka chwila ciszy. Gdzieś zastukotał jadący stojak z kroplówką, a przez głośniki pilnie wzywano lekarza do sali reanimacyjnej numer jeden.

Izzy. Najbliższa przyjaciółka Jane. Szalona, pełna pasji, dusza każdego towarzystwa. Osoba, którą Jane tak uwielbiała, że skoczyłaby za nią w ogień. Koleżanka ze studiów, współlokatorka... zupełnie jak siostra.

Dylan przyglądał się jej uważnie. Jane zauważyła, że ma ciemnoniebieskie oczy, czarne włosy i jasną cerę. Wyglądał jak typowy Irlandczyk, ale mówił ze szkockim akcentem. Josh również był Szkotem. Poznał Izzy, pracując za granicą. Zakochali się w sobie do szaleństwa.

– To miłość mojego życia – mawiała Izzy. – Janey, to jest ktoś, z kim chciałabym być do końca swoich dni.

W jego oczach dostrzegła coś, co wyglądało jak... współczucie.

– Gdzie ona jest? Co się stało?

– Tak mi przykro. – Głos nieznajomego stał się głuchy. – Izzy nie żyje. Zmarła miesiąc temu.

Jane jęknęła. Chwilę wcześniej otaczający ją gwar niemal nie docierał do jej świadomości. Znajoma kakofonia dźwięków, z której można było wyłowić potrzebne informacje. Teraz szpitalne odgłosy przekształciły się w hałas, który napierał na nią niczym huk wzburzonych fal. Narastał, by po chwili ucichnąć.

– Usiądź – polecił Dylan. Usiadła na niewygodnym krześle obok leżanki. – Pochyl głowę – nakazał. – Czy mam zawołać kogoś do pomocy?

– Nie! – Hałas przycichł na tyle, że Jane udało się pozbierać myśli. Ta sprawa jest zbyt osobista.

Zakryła oczy dłońmi. Wzięła kilka głębokich oddechów, potem opuściła ręce i podniosła wzrok.

– Przykro mi – powtórzył Dylan.

Widać było, że mówi szczerze. Gdyby nie trzymał dziecka, na pewno by ją objął. Oczywiście wcale nie pragnęła, by obejmował ją obcy mężczyzna. Dlaczego zatem czuje lekki zawód, że nie może jej objąć?

– Najlepiej będzie, jak opowiesz mi wszystko po kolei – powiedziała z wolna.

– Po to tutaj przyjechałem.

– Porozmawiajmy gdzie indziej.

Zerknął przez ramię, jakby przez zasłonę mógł zobaczyć pełną ludzi izbę przyjęć.

– Słuszna propozycja. Gdzie możemy pójść?

– Do mojego gabinetu.

– Teraz?

– Jeśli masz czas.

Na jego ustach pojawił się na chwilę cień uśmiechu, sprawiając, że twarz mu pojaśniała.

– Przyjechałem w tej sprawie aż z Edynburga. Mam całe mnóstwo czasu. Ważniejsze, czy ty masz czas?

– Znajdę wolną chwilę. – Ostrożnie wstała, starając się wypchnąć ze świadomości tragiczną wiadomość. Tylko nie Izzy. Boże! – Chodź ze mną.

Mandy patrzyła w ich stronę zza biurka siostry dyżurnej. Uważnie przyjrzała się Jane.

– Wszystko w porządku, pani doktor?

– Jak najbardziej.

– Czy mogłabym jakoś...?

Widać było, że jest zaniepokojona. Czyżby wygląd Jane wzbudził jej troskę? Jane zdjęła chirurgiczny czepek i przygładziła ręką splecione w warkocz włosy. Pielęgniarka przeniosła wzrok na Dylana, który niósł na jednym ramieniu dziecko, a na drugim fotelik samochodowy i torbę.

– A pana plecak?

– Czy na razie mógłbym go tutaj zostawić? – zapytał, obdarzając Mandy czarującym uśmiechem.

– Jasne. W szafce nikomu nie przeszkadza.

– Właściwie jest coś, co mogłabyś zrobić, Mandy. – Jane z ulgą stwierdziła, że jej głos brzmi prawie normalnie. – Skontaktuj się z moim stażystą i poproś go, żeby zaczął obchód beze mnie. Dołączę do niego, kiedy dojdzie do sali pooperacyjnej. Jeśli wyskoczy coś pilnego, wezwij mnie pagerem.

Szli w ciszy, przerywanej tylko pozdrowieniami od mijanych osób.

– Witam, doktor Walters.

– Jane! Jak się masz?

Odpowiadała na powitania, ale ani razu się nie zatrzymała. Plecy miała wyprostowane, wzrok skierowany przed siebie, a tempo marszu tak energiczne, że Dylan nie musiał ze względu na nią zwalniać.

Kilka razy zerknął na nią ukradkiem. Była teraz dużo bledsza, ale czyżby to była jedyna oznaka zdenerwowania? Czy jej twarz zawsze nosi taki surowy wyraz? Prawdziwa Królowa Śniegu, pomyślał.

Dylan poznał swą szwagierkę jakiś czas temu, podczas świąt Bożego Narodzenia w Szkocji. Izzy była wspaniałą dziewczyną. Pełna życia, tryskała energią i radością. Bezustannie opowiadała o Jane, swojej najlepszej przyjaciółce, za którą bardzo tęskniła. O kobiecie, która będzie szczęśliwa, kiedy, a raczej jeśli cud się dopełni. I cud się dopełnił.

Teraz jednak Dylan nie potrafił sobie wyobrazić, jak może wyglądać szczęśliwa Jane Walters. Zadowolona, owszem. Usatysfakcjonowana, jak najbardziej. Ale nie szczęśliwa, bo wtedy nie mogłaby panować nad sobą i otoczeniem.

Nie ulega wątpliwości, że jest tu kimś znaczącym. Nie zwracała uwagi na spojrzenia i uśmiechy świadczące o szacunku, ale nie uszły one uwadze Dylana. Dobrze wiedział, że w szpitalach panuje ścisła hierarchia i zdawał sobie sprawę, że jego towarzyszka to ważna figura.

A gdyby nawet się tego nie domyślił w drodze, to po wejściu do jej gabinetu nie miałby najmniejszych wątpliwości. Według szpitalnych standardów, to była królewska komnata. Z okna roztaczał się widok na miejski park, można było nawet dostrzec rzekę.

Jedną ścianę pokrywały oprawione w ramki dyplomy i certyfikaty. Na półkach stały starannie ustawione periodyki medyczne i podręczniki. Papierowej podkładki na wielkim biurku nie szpeciły żadne bazgrały, a krzesło

zostało wsunięte pod blat. Jednak Jane nie usiadła za biurkiem. Usadowiła się w jednym z dwóch wygodnych foteli stojących z boku, przy stoliku do kawy.

– Usiądź – poleciła. – Czy dziecku niczego nie trzeba?

– Ma na imię Sophie. – Uśmiech Dylana był nieco wymuszony. Zaczynało mu dokuczać zmęczenie. – I niczego jej w tej chwili nie trzeba. Nakarmiłem ją i przewinałem, kiedy czekaliśmy w izbie przyjęć.

– Rozumiem. – Siedziała na skraju fotela, z lekko zaciśniętymi dłońmi i pobladłą twarzą.

Dylan przyjrzał jej się i doszedł do wniosku, że wygląda okropnie. Podniosła wzrok nagle, więc nie zdążył odwrócić spojrzenia. Miała niezwykły kolor oczu. Zielony? Brązowy? Trudno było stwierdzić, ponieważ źrenice bardzo się rozszerzyły.

– Co się stało? – zapytała przez ściśnięte gardło. – Poród okazał się skomplikowany?

– Nie. Wszystko przebiegło doskonale. Kiedy wieźli Sophie ze szpitala do domu, na autostradzie zdarzył się wypadek. Izzy zginęła na miejscu. Josh miał złamany kręgosłup szyjny. Trzy tygodnie przeleżał w szpitalu, ale zmarł na skutek niewydolności układu oddechowego. – Dylan musiał na chwilę zamilknąć. – Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że umarł z rozpacz.

– A Sophie? Też była w samochodzie?

– Tak, w bardzo nowoczesnym foteliku. – Ruchem głowy wskazał na przyniesione rzeczy, które stały na podłodze. – Nic jej nie jest.

Jane nie patrzyła na Sophie. Wbiła wzrok w swoje dłonie, kurczowo zaciśnięte na kolanach.

– Wiedziałam, że coś się stało. Izzy wspominała coś o niespodziance i z początku myślałam, że chcą przyjechać w odwiedziny tutaj, do Christchurch. Spodziewałam się, że lada dzień zapukają do moich drzwi i zobaczą ich w

progu, roześmianych i szczęśliwych. Nigdy tak długo nie milczała. Tyle razy do niej dzwoniłam...

– Dotarła do mnie wiadomość, którą zostawiłaś w zeszłym tygodniu.

– W takim razie dlaczego się ze mną nie skontaktowałeś? Dlaczego nikt do mnie nie zadzwonił po wypadku? – Teraz w jej głosie pobrzmiwała złość.

– Josh wiedział, jak bardzo byliśmy sobie bliskie. Na pewno się domyślał, że chciałabym przyjechać na... pogrzeb. Właściwie byłam jej jak siostra. Nie miała innej rodziny.

– Izzy należała do rodziny McKenziech – spokojnie odrzekł Dylan. – Była moją szwagierką, żoną mojego brata, synową mojego ojca. Jego jedyną córką. My byliśmy jej rodziną. Wszyscy ją kochaliśmy.

Brwi, o ton czy dwa ciemniejsze od złotobrazowych włosów Jane, ściągnęły się we wrogim grymasie.

– Przez tydzień po wypadku Josh był bardzo słaby, leżał pod respiratorem – ciągnął Dylan. – Ojciec wpadł w rozpacz. Ja musiałem się wszystkim zająć.

– Nie miałeś prawa mnie pominąć.

– Bardzo mi przykro. – Zabrzmiało to szczerze. Wtedy Jane była dla niego tylko imieniem, istotą z innej rzeczywistości, której ta tragedia nie dotyczyła. Miał sobie za złe, że zadał jej tyle bólu. – Był ktoś inny, z kim przede wszystkim musiałem się liczyć. – Spojrzał na dziecko i głos mu zmiękł. – Ta małeńka dziewczynka. – Podniósł głowę i czekał, aż Jane spojrzy mu w oczy.

– Twoja córka – dodał.

– Nie! – Jane skoczyła na równe nogi. – Mylisz się. To dziecko nie może być moje.

Dylan musiał jeszcze wyżej podnieść głowę, ale nie wstał z fotela. Usiłował zachować spokój. Jane przeżyła wstrząs, potrzebuje czasu. Powinna realnie odczuć istnienie Sophie, dotknąć jej. A wtedy na pewno poczuje to samo co on. Przekona się, że nic nie jest ważniejsze od szczęścia tej małej istotki.

Czy tymczasem Jane próbuje złagodzić ból po stracie przyjaciółki, nie przyjmując do wiadomości faktów? Na pewno jest opanowana i inteligentna. Te cechy są niezbędne w jej pracy. On również musiał się opanować. Nie może pozwolić, by zawładnęły nim emocje.

– O ile wiem, podarowałaś swoje komórki jajowe Joshowi i Izzy, żeby mogli je wykorzystać.

Jane niecierpliwie wypuściła z płuc powietrze.

– Tak, ale to było ponad dwa lata temu. Leczenie się nie powiodło. Obie próby skończyły się fiaskiem. Izzy była zbyt załamana, żeby zdecydować się na kolejną. Postanowili wrócić do Szkocji i tam rozpocząć nowe życie. – Odwróciła się i podeszła do półek z książkami, a potem znów stanęła twarzą w twarz z Dylanem.

– Byłam przy nich. Wszyscy byliśmy zmartwieni niepowodzeniem, ale ja nie zaproponowałam Izzy kolejnych jajeczek, a i ona o nie nie prosiła.

– Został jeszcze jeden embrion. Kiedy porządkowali sprawy przed wyjazdem z Australii, skontaktowali się z kliniką leczenia bezpłodności i dowiedzieli się o tym. Musieli podjąć decyzję, co zrobić z tym zarodkiem. Nie wiem, dlaczego nie został wykorzystany we wcześniejszych próbach. Josh coś wspominał, że zaistniały wątpliwości, czy nie jest uszkodzony.

– Były tylko cztery prawidłowo rozwinięte embriony. W każdej z prób wykorzystano po dwa. Obie próby się nie udały. I to koniec historii.

Dylan skinął głową.

– Oni też tak myśleli, ale okazało się, że został jeszcze jeden zarodek. Szanse, że się zagnieżdży, były minimalne, ale zdecydowali się na próbę, żeby potem nie żałować.

– Nie. – Jane stanowczo potrząsnęła głową. – Izzy by mi o tym powiedziała.

– Nie wierzyła, że się uda. Nie chciała nikomu robić nadziei, zwłaszcza sobie. Myślała, że jeśli będą o tym wiedzieć tylko ona i Josh, to łatwiej będzie im się pogodzić z kolejnym niepowodzeniem.

Na twarzy Jane widać było jednocześnie ból, gniew i niedowierzenie. Może poczuła się odrzucona? Zraniło ją to, że przyjaciółka ukryła przed nią tak ważny sekret?

– Powiedziałyby mi o tym, kiedy już się upewniła, że jest w ciąży.

– Z początku nie mogła w to uwierzyć. Przecież za pierwszym razem straciła dziecko. W ósmym czy dziewiątym tygodniu, prawda?

Jane skinęła głową.

– Najpierw czekali, żeby zyskać pewność, a potem postanowili zrobić ci niespodziankę.

– A skąd ty tyle o tym wiesz?

Tak. Na pewno czuje zazdrość. I ból. A więc nie jest Królową Śniegu, chociaż stara się za taką uchodzić.

– Josh był moim bratem – odrzekł łagodnym tonem. – O parę lat starszym, ale byliśmy sobie bliscy. Bardzo wcześnie straciliśmy mamę. Josh był moim opiekunem i najlepszym kumplem jednocześnie.

Wciągnął głęboko powietrze. Żadnych łez, nakazał sobie stanowczo. Nie tutaj. Nie przy niej.

– Z oddziału intensywnej opieki przeniesiono go na oddział leczenia urazów kręgosłupa. Spędziłem przy jego łóżku dwa tygodnie. Z początku

wymienialiśmy się z ojcem, ale dla niego okazało się to zbyt dużym obciążeniem, więc w końcu zostałem tam właściwie sam.

Musiał zakasłać, by odzyskać panowanie nad głosem.

– Mogłem tylko trzymać go za rękę i rozmawiać z nim. Pokazywałem mu córeczkę. Pozwalałem w pełni przeżywać rozpacz po śmierci Izzy, która była miłością jego życia. I żałować straconej przyszłości.

W jego głosie wyraźnie słyszała ogromny ból.

Jane nie miała rodzeństwa, ale Izzy była dla niej niczym siostra. Co by czuła, gdyby to ona musiała siedzieć przy jej łóżku i podtrzymywać ją po stracie ukochanego Josha? Gdyby na dodatek obie wiedziały, że nawet jeśli przeżyje, to nigdy nie będzie mogła wziąć na ręce upragnionego dziecka?

Niewyobrażalna sytuacja. Jane spojrzała na siedzącego przed nią mężczyznę i ze współczucia topniało w niej serce. Czując w gardle bolesny ucisk, wolno wróciła na miejsce i usiadła.

– Przepraszam. – Zamknęła oczy i westchnęła. Czasami słowa nie potrafią oddać uczuć. – To musiało być dla ciebie straszne. Josh był... wspaniały.

– Poznałaś go? – Zdziwił się, ale zaraz dodał: – Na pewno poznałaś. Przecież się przyjaźniłyście.

– Mieszkaliśmy razem. Josh wprowadził się do nas po kilku dniach od poznania Izzy. – Jane uśmiechnęła się smutno. – To była prawdziwa miłość.

– Przyjechałbym na ślub, gdyby mnie zaproszono.

Czyżby w jego głosie usłyszała zazdrość? Jane wzięła udział w bardzo ważnym wydarzeniu w życiu jego brata, podczas gdy on został z niego wykluczony. Nie potrafiła mu współczuć, ponieważ i jej nie został dany udział w bardzo ważnych chwilach życia przyjaciółki.

A może jednak mu współczuje?

– To była decyzja podjęta pod wpływem chwili. Pastor, plaża, surferzy. Izzy i Josh twierdzili, że liczy się wzajemne oddanie, a nie impreza na pokaz. – Na jej twarzy znów pojawił się smutny uśmiech. – Wszyscy mieliśmy na sobie dzinsy i po ceremonii poszliśmy brodzić w wodzie.

– W dzinsach? Na plaży? – Dylan przesunął nieco dziecko, włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej nieco zmiętą fotografię. – To wtedy zostało zrobione to zdjęcie?

– Tak. – Jane zacisnęła wargi. Nie chciała się rozplakać na oczach nieznajomego. Powinna jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. – To mój oficjalny portret w roli druhny.

Dylan potrząsnął głową.

– Dlaczego odbyło się to w takim pośpiechu?

– To było ich święto. – Westchnęła. – A może raczej przypieczętowanie postanowienia. Poprzednie tygodnie przeżyli bardzo burzliwie. Josh oświadczył się Izzy, ale ona odmówiła, choć serce jej pękało.

– Jak to? – zdziwił się Dylan. – To podobno była miłość od pierwszego wejrzenia. Dlaczego odmówiła?

– Wiedziała, że nie może mieć dzieci i choć Josh ją zapewniał, że to nie ma dla niego znaczenia, nie zdołał jej przekonać. Izzy potrafiła być uparta. Wbiła sobie do głowy, że może udowodnić swoją miłość do Josha tylko w jeden sposób: jeśli urodzi jego dziecko.

– A dlaczego nie mogła?

– Przedwczesna menopauza. Zapadła na nią w wieku dwudziestu dziewięciu lat, zanim się poznali. Gdyby wystąpiły jakieś symptomy ostrzegawcze, mogłaby zamrozić swoje komórki jajowe.

– A więc wtedy do akcji wkroczyłaś ty?

– Niezupełnie. Ich związek od początku był bardzo intensywny, pełen pasji. Izzy wiedziała, że nigdy nie będę miała własnych dzieci, więc...

– Dlaczego? – przerwał jej zdziwiony.

– Bo wybrałam sobie zawód, który nie zostawia czasu na wychowanie dzieci. – Ton Jane stał się twardy. – Oboje moi rodzice poświęcali się pracy zawodowej, toteż wiem, jak wygląda dorastanie w rodzinie, w której ojciec i matka nie mają czasu dla dziecka. – Dlaczego mu to mówi? – Tak, dałam się przekonać i pomogłam Izzy, ale szczerze mówiąc, miałam wiele wątpliwości. Kiedy próby się nie powiodły, odczułam coś w rodzaju ulgi.

– W końcu jednak się udało.

Jakby chcąc zaświadczyć o prawdziwości tego stwierdzenia, niemowlę poruszyło się i zakwililo cicho, jakby chciało powiedzieć: jestem tutaj, ja istnieję.

– Mam przy sobie akt urodzenia, jeśli chcesz go zobaczyć.

Zimny dreszcz przebiegł Jane po plecach.

– A dlaczego miałabym go oglądać?

– Bo widnieje na nim twoje nazwisko. Jako matki.

– Ale ja nie jestem jej matką!

– Z biologicznego punktu widzenia jesteś. To Josh wymyślił ten plan. Skorzystaliśmy z porady prawnika, mamy dowody w postaci wyników testów medycznych. Podpisałaś zgodę na ujawnienie swoich danych.

– Tylko na wypadek, gdyby konieczne było poznanie medycznej historii przodków dziecka. Albo przeszczep szpiku czy coś w tym rodzaju. – Jane znów wstała. Musiała się poruszyć. – To niedorzeczne. Nie decydowałam się na dziecko.

Sophie zakwilila głośniejsz, by po chwili rozplakać się na dobre. Czyżby wyczuła, że została odrzucona?

– Po świecie chodzi wiele kobiet, które nie zdecydowały świadomie o swoim macierzyństwie. – Spokojny ton głosu świadczył, że Dylan nie ma pojęcia, jakie ta sytuacja mogła spowodować skutki. – Mimo to nawiązują głęboką więź z dziećmi, kiedy te już pojawią się na świecie. Zostają wspaniałymi matkami.

– Nie mam zamiaru nawiązywać głębokiej więzi z tym niemowlęciem. – Zabrzmiało to okrutnie, ale taka była prawda. –I nie pozwolę sobie siłą narzucić macierzyństwa.

Jane znów krążyła niespokojnie po gabinecie. Podeszła do biurka, do swojego ładnego uporządkowanego biurka – pasującego do ładu i porządku, jakie panowały w jej życiu. Stał na nim złoty zegar, pudełko z długopisami, bloczek żółtych karteczek i jeszcze jedno pudełko, z wizytówkami.

– Proszę. – Wzięła jedną z wizytówek i podała ją Dylanowi. – Znajdziesz tu moje zamiary. Zadzwoń jutro, kiedy już porozumiem się z prawnikami. Znajdziemy jakieś wyjście, żebym mogła się przyczynić do lepszego losu tego dziecka.

– Bardzo to łaskawie z twojej strony. – Dylan wsunął wizytówkę do kieszeni. Wstał, pozornie nie zwracając uwagi na zawodzenie Sophie. – Ale mała Sophie potrzebuje teraz czegoś więcej niż pieniędzy.

– To najlepsza oferta z mojej strony.

– Nie zgadzam się z tym.

– Posłuchaj. – Płacz dziecka zdawał się wypełniać głowę Jane, uniemożliwiając jej myślenie. Musi stąd uciec i znaleźć czas na przemyślenia.

– Przecież ma ciebie. Jesteś jej stryjem i najwyraźniej jej dobro leży ci na sercu. Pomogę, jak tylko będę mogła, ale...

Do przenikliwego płaczu dziecka dołączyło się natarczywe popiskiwanie pagera Jane. Jest potrzebna w szpitalu, tam gdzie jej miejsce. Za chwilę wróci do swojego prawdziwego życia. Ucieknie od tego koszmaru.

Odwróciła się energicznie, by sięgnąć po stojący na biurku telefon i dowiedzieć się, dokąd ma iść.

– Hej! Dokąd to?

Zaskoczona otworzyła szeroko oczy. Ta całkiem niestosowna odzywka sprawiła, że odwróciła się mimo woli.

– Dokonałaś wyboru – oznajmił Dylan twardym głosem. – Umożliwiłaś temu dziecku przyjście na świat. Musisz wziąć odpowiedzialność za tę decyzję.

– Ale już mówiłam...

– Nie – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie przyjmuję tego do wiadomości. Sophie zasługuje na coś lepszego. Sophie, twoja córka.

Nie miała pojęcia, jak do tego doszło. Stało się to szybko i zupełnie nieoczekiwanie. Jeszcze przed chwilą widziała przed sobą rozgniewanego mężczyznę z dzieckiem, którego krzyki przeszywały jej mózg na wylot, a teraz została w gabinecie sama, z dzieckiem na rękach, a za Dylaniem z trzaskiem zamknęły się drzwi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jak on mógł tak postąpić? Wyszedł i zostawił ją samą z dzieckiem na rękach. Dosłownie.

Jęknęła z niedowierzaniem, wyglądając na opustoszały teraz korytarz przed gabinetem.

– Ciii! – Zakołysała dzieckiem, ale skutkiem był jedynie zwiększony poziom decybeli.

Jane wróciła do gabinetu i zamknęła stopą drzwi. Może to szczęście, że w korytarzu nie dostrzegła nikogo? Co by sobie pomyśleli jej koledzy i koleżanki?

Jane Walters, oddana pracy chirurg pediatra, skupiona na swojej błyskotliwej karierze w świecie lekarskim, została przypadkową matką. Bez seksu z ojcem dziecka. Nigdy nie będąc w ciąży. Na pewno jak z rękawa posypałyby się dowcipy o niepokalanym poczęciu i bezstresowej ciąży. Ludzie chichotaliby za jej plecami, zamiast obdarzać ją szacunkiem, na który tak ciężko pracowała. Jęknęła bezgłośnie, zdając sobie sprawę, że znów koncentruje się na pracy. A tu chodzi o coś więcej niż tylko o etykietkę kujona, którą przyklejano każdemu, kto wolał się uczyć zamiast imprezować. Nie powinna teraz skupiać się na sobie i swojej karierze, bo inna sprawa była tu najważniejsza. Izzy...

Nie. Nie może teraz zagłębiać się w rozważaniach, jak będzie wyglądał świat bez osoby, którą kochała najmocniej. Jeśli teraz się załamie, nikomu to nie pomoże, a jeśli wieść o tym rozejdzie się po szpitalu, ucierpi jej wiarygodność, i to jeszcze bardziej niż przez fakt posiadania nieoczekiwanego dziecka.

Dziecka Izzy.

Tak bardzo go pragnęła, że błagała Jane o pomoc. A gdyby Izzy ją teraz widziała? Z łatwością mogła sobie wyobrazić jej twarz, na której odbijały się burzliwe uczucia. Znowu poczuła więź ich łączącą.

Janey, proszę cię, powiedziałyby Izzy. Musisz mi pomóc. Tylko ty możesz to zrobić.

– Ciii! – Jane starała się zagłuszyć dźwięczące w jej myślach echo głosu przyjaciółki. Spojrzała na wykrzywioną płaczem buzię dziecka. – Ależ ty jesteś czerwona! – zawołała. – Może coś ci dolega?

Z tym potrafiłyby sobie poradzić. Usiadła na skraju fotela, pochyliła się i ostrożnie ułożyła dziecko na podłodze. Rozwinęła je z kocyka.

To dziecko Izzy, powtarzała sobie w myślach, patrząc na maleńkie dłonie z rozstawionymi paluszkami i drobne ciało w miękkim różowym ubranku.

– Może jest ci za gorąco.

Rzeczywiście, maleństwo najwyraźniej ma za ciepło. I zbyt wilgotno. No i bijący od niego zapach jest zdecydowanie nieprzyjemny. Jane odruchowo podniosła wzrok, podświadomie oczekując, że pielęgniarka lub któreś z rodziców zajmie się tą sprawą.

Do Jane należało diagnozowanie chorób. Oglądała dzieci czyste i rozbudzone. Owszem, czasami się zdarzało, że płakały jak to tutaj. Widziała je również potem, spokojnie i ciche pod wpływem działania środków uspokajających i później, gdy zdrowiały, no i oczywiście kiedy mocno spały, w głębokim znieczuleniu. Te ostatnie przypadki lubiła najbardziej.

Właśnie wtedy mogła użyć swojej wiedzy i umiejętności, by naprawić to, co jest nie tak.

Jane Walters nie zajmowała się zmienianiem pieluch. Ani karmieniem. Czasami przytulała niemowlęta. Kiedy już poznała bliżej dane dziecko, stawało się ono częścią jej życia zawodowego. Te dzieci były dla niej bardzo

ważne. Tak bardzo, że nigdy nie żałowała rezygnacji z posiadania własnych. Dzięki temu, że po pracy mogła wrócić do domu i całkowicie się zrelaksować, małym pacjentom dawała z siebie wszystko.

O Boże! Spojrzała na leżącą u jej stóp nieszczęśliwą istotkę. Czy to możliwe, że ona rzeczywiście jest jedyną osobą, która może zastąpić jej matkę? Nie. Bycie matką to coś więcej niż efekt procesu biologicznego. Ona nie jest matką. Nie może sobie na to pozwolić. Nie chce!

Telefon na biurku dzwonił przez dłuższą chwilę, zanim jego dźwięk przedarł się do jej świadomości przez płacz Sophie i gonitwę myśli, która ją pochłonięła. Jane wyprostowała się i sięgnęła po słuchawkę.

– Doktor Walters? – Usłyszała głos stażysty.

– Słucham, Mike. Co się dzieje?

– Odebrała pani moją wiadomość?

Dobry Boże. Zupełnie o tym zapomniała. Jej życie pogrąża się w chaosie.

– Zaczekaj. – Spojrzała na pager przypięty do elastycznego paska spodni.

– Jesteś na intensywnej?

– Tak. A pani?

– No... – Na pewno słyszał w tle płacz dziecka. – Musiałam zejść do izby przyjęć.

– Wygląda na to, że jakiś maluch jest tam bardzo niezadowolony z życia.

– Owszem. – Niemowlę nadal zawodziło, ale głos miało zmęczony. Łkanie od czasu do czasu przerywała żalosna czkawka. Jane spojrzała na fotelik samochodowy zostawiony tu przez Dylana. Dostrzegła torbę, z której wystawało opakowanie pieluch. Może znajdzie tam też butelkę z jedzeniem?

– Noworodek? – dociekał Mike.

– Tak. – Musiała jak najszybciej dowiedzieć się, o co chodzi młodemu lekarzowi i wrócić do swoich problemów. – A co się dzieje z Williamem? Wyglądał na stabilnego, kiedy go dziś widziałam w pooperacyjnej.

– Ma częstoskurcz. Ciśnienie krwi trochę spadło.

– Jakieś dolegliwości brzuszne? I jak wygląda drenaż?

– Nie zauważyłem żadnych oznak krwawienia. Wypływ płynów minimalny.

– Wydalanie moczu?

– Również minimalne.

– Saturacja krwi?

– Dobra. Dziewięćdziesiąt osiem procent.

– Zwiększ przepływ płynów w kroplówce i sprawdź, czy da się ustabilizować ciśnienie. Zajrzę tam, jak tylko będę wolna. Potrzebuję kilku minut, żeby się uporać z...

Z tym dzieckiem? Z uczuciem, że zepchnięto ją z wybranej ścieżki życia i strącono w przepaść? Mike nie oczekiwał tłumaczenia.

– Zostanę tutaj. Skończyłem już obchód. Wygląda na to, że na oddziale wszystko w porządku.

– Świetnie. Zobaczymy się później.

Odłożyła słuchawkę. Oddział znajdował się niedaleko. Margaret, pielęgniarka dyżurna, była doświadczona i sprawna. Właśnie takiej osoby Jane teraz potrzebowała.

Owinęła Sophie kocykiem i sięgnęła po torbę, cały czas w myślach układając sobie przemowę. Koleżanka ma kłopoty. Jakaś nagła sprawa rodzinna. Muszę przez jakiś czas opiekować się tym dzieckiem i potrzebuję pomocy. Tylko do czasu, aż się upewnię, że z moimi pacjentami wszystko w porządku.

Nawet jeśli jeden mały pacjent będzie musiał znów trafić na salę operacyjną, nie potrwa to dłużej niż godzinę, najwyżej dwie. Jane usadowiła maleństwo w foteliku samochodowym. I co teraz?

Wzięła w jedną rękę fotelik, w drugą torbę i poszła na pediatrię. Co będzie, jeśli szwagier Izzy nie wróci, obarczając ją niemowlectwem?

Nie może przecież zostawić dziecka na noc w szpitalu. Padłoby za dużo pytań. Ktoś by to zgłosił do opieki społecznej i prawda wyszłaby na jaw.

Dobrze, że jest piątek. Jutro jej obowiązkiem będzie tylko poranny obchód, więc w najgorszym razie, jeśli przyjdzie jej zabrać dziecko do domu, zostanie jej sporo czasu do poniedziałku na uporządkowanie tej sprawy.

Musi jakoś rozwiązać ten problem.

Dziewiąta wieczór.

Dylan McKenzie odpowiedział uśmiechem na uśmiechy grupki młodych dziewczyn, które, stukając wysokimi obcasami, przeszły obok parkowej ławki, na której siedział. Te, które akurat nie były zajęte wysyłaniem esemesów, odwróciły głowy.

– Chodź z nami! – zawołała śmiało jedna z nich. – Dzisiaj piątek, czas na imprezę!

Dylan potrząsnął głową.

– Jestem umówiony – odparł, poważniejąc. – Ale bawcie się dobrze. I uważajcie na siebie – dodał.

Były o wiele za młode, by bawić się w mieście, ubrane w skąpe bluzki i obcisłe džinsy. Na pewno nie miały więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Czy ich rodzice wiedzą, gdzie teraz są i co planują córki?

Czy Sophie też tak się będzie zachowywała w wieku, kiedy powinno się przebywać pod nadzorem dorosłych?

Westchnął. To zabawne, jak bardzo zmienia się podejście do świata w chwili, kiedy zostaje się rodzicem. Lub prawie rodzicem. Znów westchnął. Dawało o sobie znać zmęczenie dwudziestoczworgodziną podróżą ze szkockiego Edynburga do Christchurch w Nowej Zelandii. Jeszcze nigdy nie był taki znużony.

Ani tak przygnębiony.

Owszem, nie oczekiwał, że Jane Walters podskoczy z radości, kiedy niczym grom z jasnego nieba spadnie na nią wiadomość o dziecku. Ale nie spodziewał się, że będzie niezainteresowana i aż tak przerażona.

Nie chciała Sophie. Zaproponowała mu pieniądze, żeby tylko ten problem zniknął z jej życia.

Niewiele rzeczy wprawiało Dylana w prawdziwą wściekłość. Szczycił się tym, że na każdy spór potrafi spojrzeć z wielu punktów widzenia i zachować spokój, a nawet poczucie humoru. Tym razem jednak był zły.

Zdenerwował się do tego stopnia, że gwałtowne wyjście wydało mu się jedynym słusznym rozwiązaniem. Niech ta pani doktor weźmie na siebie chociaż część odpowiedzialności! Jednak przez całe popołudnie zamartwiał się do nieprzytomności.

Co się stało po jego wyjściu? Może Jane zostawiła Sophie pod opieką kogoś innego? Osoba na jej stanowisku może na przykład zażądać pomocy personelu na oddziale pediatrycznym. Tylko ta świadomość powstrzymywała Dylana przed natychmiastowym powrotem do szpitala.

Ale równie dobrze mogła wezwać policję. Być może już go szukają, z nakazem aresztowania za porzucenie niemowlęcia. Jeśli to prawda, to nietrudno byłoby go znaleźć, skoro siedzi w publicznym miejscu nad rzeką, o kilka minut spacerem od szpitala. Tuż obok stoi plecak dobitnie świadczący o tym, że Dylan jest przyjezdnym.

Siedział tu już bardzo długo. Wiele godzin. Starając się wymyślić, co dalej. Nie przewidywał takiego rozwoju wypadków. Oczywiście, był w stanie przewrócić swój świat do góry nogami i przejąć opiekę nad bratanicą. Z chęcią by to zrobił. Ojciec dziecka nie miałby nic przeciwko temu. Ale obaj doszli do wniosku, że Sophie przede wszystkim potrzebuje matki.

Najlepiej własnej. Kobiety bliższej jej genetycznie niż stryj czy dziadek. Warto było spróbować, chociaż w tej chwili szanse na takie rozwiązanie nie wyglądały obiecująco. Wstał, czując, że zeszywniały mu nogi. Na podstawie informacji z wizytówki i planu miasta wiedział, że znajduje się w połowie drogi między szpitalem a miejscem zamieszkania Jane.

Teraz jest już pewnie w domu. Jeśli ma w sobie choć odrobinę ludzkich uczuć, zabrała dziecko ze sobą. Jeśli nie, to Dylan uzna próbę za zakończoną. Dowie się, gdzie jest Sophie i zabierze ją na drugi koniec świata.

Dlaczego to dziecko nie przestaje płakać?

Margaret zapewniła, że zostało nakarmione i przewinięte, kiedy Jane około ósmej odebrała ją z oddziału. Sophie była spokojna podczas krótkiej podróży taksówką. Rozpaczliwy płacz zaczął się, gdy Jane wsunęła klucz do zamka w drzwiach swojego apartamentu na najwyższym piętrze, i nie ustawał.

Dziecko wiedziało, że jest w nieodpowiednim miejscu z niewłaściwą osobą. Jane nie mogła nic na to poradzić. Krążyła nerwowo po salonie, który stanowił całość z kuchnią i jadalnią. Kołysała niemowlę i przemawiała do niego łagodnie, starając się uspokoić i dziecko, i siebie samą. Cały czas czuła, jak coś ją ściska w żołądku ze strachu, który powoli przeradza się w panikę. Ogarnęły ją lekkie mdłości. Nie miała czasu zagotować wody na herbatę, nie wspominając o przygotowaniu posiłku. Nawet nie zaciągnęła kotary zasłaniającej szklaną ścianę, za którą rozciągał się widok na rozległy miejski park.

– Wszystko będzie dobrze – przemawiała do Sophie. – On wróci. Przy nim byłaś spokojna, prawda?

Z pewnością o wiele szczęśliwsza niż w ramionach biologicznej matki.

– On się tobą zajmie. Bardzo cię kocha.

Przynajmniej robił takie wrażenie, a dziecko w jego silnych ramionach spało spokojnie i bezpiecznie.

– Wygląda na miłego człowieka.

W każdym razie jego brat taki był. Jane nigdy nie pozwoliła, by jakiś poważny związek przeszkodził jej w osiągnięciu celów zawodowych. Chociaż może nie była to całkowita prawda. Pociągali ją mężczyźni podobni do niej. Wybitnie inteligentni, ambitni. Ale tego typu mężczyzn nie interesowały kobiety podobne do Jane. Pragnęli podziwu i wsparcia, a nie konkurencji.

Izzy lubiła swoją pracę i dzięki wrodzonej bystrości wykonywała ją z łatwością, ale bez wahania zrezygnowała z szansy zostania konsultantką dla pozycji żony i matki. Zamierzała pracować jako lekarz rodzinny. Chciała dzielić życie zawodowe i prywatne z mężczyzną, który zawładnął jej sercem. I chociaż Jane nie potrafiła sobie wyobrazić gorszej sytuacji, jeśli chodzi o karierę zawodową, to jednak odczuwała pewną zazdrość na myśl o tak głębokiej miłości. Ale podobnie jak macierzyństwo, postanowiła wykluczyć to uczucie ze swojego życia.

Sophie nadal płakała. Na skutek rozmyślań o Izzy ucisk w żołądku Jane zmienił się w ostry ból. Izzy i Josh. Mogła sobie wyobrazić, z jakim niedowierzaniem przyjęli wiadomość, że kolejna próba in vitro okazała się sukcesem. Widziała ich wyraźnie: Josha z ręką na brzuchu Izzy, promieniejącej nadzieją i miłością.

Łzy spływały Jane po policzkach. Nadal krążyła po pokoju, przytulając Sophie, a słone krople wsiąkały w miękki kocyk w kaczuszki. Płacz dziecka

brzmiał niczym echo jej własnej rozpacz, więc Jane niemal go już nie słyszała, dopóki ktoś nie zapukał do jej drzwi.

Czyżby zakłóciła spokój starszym państwu, którzy mieszkali pod nią? Może przyszli sprawdzić, co się u niej w domu wyprawia? Poskarżyć się?

Jane otarła twarz skrajem koca i wzięła głęboki oddech, by odzyskać panowanie nad sobą. Sąsiedzi będą musieli się pogodzić z tymczasowym zakłóceniem spokoju. Tak samo jak ona sama.

Królowa Śniegu płacze!

Dylan nie dowierzał własnym oczom. A więc ten tytuł nadał jej niesłusznie. Złość opuściła go błyskawicznie, gdy stanął po drugiej stronie ulicy i zobaczył w oknie Jane pochyloną nad trzymanym w objęciach dzieckiem. Zrobiła, co należy. Zabrała córkę do domu i teraz kołysała ją w ramionach. Kiedy otworzyła drzwi, a on zobaczył, w jakim jest stanie, doznał wstrząsu.

Nadal była bardzo blada, ale teraz miała czerwone od płaczu oczy, a pod nimi sine kręgi. Dylan bez słowa przekroczył próg i wyjął jej z ramion Sophie.

– Cześć, maleńka – rzekł miękkiem głosem. – Co się dzieje? Dobrze, już dobrze.

Usłyszał, że drzwi się zamknęły. Kątem oka dostrzegł, że Jane stoi oparta o nie bezwładnie. Zamknęła oczy i splotła ramiona na piersi, jakby nadal chciała trzymać dziecko. Dylan oparł się pokusie, by przyciągnąć ją do siebie i pocieszyć. Udał, że skupia się na Sophie.

– Jest głodna? – zapytał.

– Została nakarmiona mniej więcej godzinę temu. I przewinięta. – Jane wyprostowała się.

– A czy ty coś jadłaś?

– Nie. – To pytanie wyraźnie ją zdziwiło.

– Ja też nie. – Płacz Sophie zaczynał cichnąć. – Masz w domu dość jedzenia dla nas obojga?

– Właściwie... – Jane spojrzała na dziewczynkę i spostrzegła, że jej oczy powoli się zamykają. – Jak to zrobiłeś? Dlaczego mnie się nie udało? Dylan uśmiechnął się.

– Nie podchodź do tego tak osobiście. Ona po prostu mnie zna.

W jej oczach zapłonęła iskra gniewu.

– W takim razie dlaczego ją porzuciłeś? Dlaczego zostawiłeś ją z obcymi ludźmi?

Współczucie wywołane wyglądem Jane gdzieś wyparowało. Czy nic do niej nie dociera?

– Chciałem, żebyś się zastanowiła nad swoim udziałem w życiu tego maleństwa.

Jane nie patrzyła teraz na Sophie. Mierzyła Dylana gniewnym, pełnym świętego oburzenia wzrokiem.

– Mogłam wezwać policję. Albo opiekę społeczną.

– Ale nie zrobiłaś tego.

– Na twoje szczęście. Zanedbywanie i porzucanie dzieci jest karalne.

– A więc dlaczego nie wezwałaś policji?

Uciekła wzrokiem w bok.

– Bo nie chciałam, żeby się ludzie o tym dowiedzieli.

– Dlaczego nie?

– To sprawa osobista.

– Może nie chcesz, żeby ludzie wiedzieli, że nie jesteś gotowa uznać swojego własnego dziecka?

– Ależ jestem! Chcę ją wspierać tak, jak tylko mogę. Pragnę dla niej wszystkiego, co najlepsze. Tak samo jak ty. A... – Triumfalnie spojrzała na

uśpione dziecko. –A najlepiej jej będzie pod twoją opieką. – Przeszła do pokoju. – Siadaj, czuj się jak u siebie w domu. Przygotuję coś do jedzenia, a potem pogadamy. Wystarczy jajecznicą?

– Wystarczy. – Nie zastosował się do jej polecenia i nie usiadł. Dla małej Sophie był gotów na wszystko, ale miał już dość rozkazów Jane. Wydawało jej się, że o wszystkim może decydować. Ukrywając gniew, stanął przy oknie i rozejrzał się po luksusowym apartamencie.

Jane krzątała się w części kuchennej. Otworzyła szafkę i lodówkę o stalowej obudowie. Na czarnym blacie stała już patelnia, miska i opakowanie jajek.

– Bardzo ładne mieszkanie – zauważył w końcu, przerywając ciszę, w jakiej Jane przygotowywała posiłek.

– Dziękuję. Bardzo je lubię.

– I jest blisko szpitala.

– Tak. W lecie chodzę do pracy dłuższą drogą, przez park. Traktuję to jako formę aktywności fizycznej. Park jest taki piękny.

– Masz białe meble. Utrzymanie ich w czystości musi być trudne.

Jane wbijała jajka do miski.

– Wcale nie. Mieszkam sama, nie zamierzam brać psa ani kota, a sprzątaczką przychodzi dwa razy w tygodniu. – Odwróciła głowę, sięgając po trzepaczkę. – Moje mieszkanie, tak samo jak moje życie, jest dokładnie takie, jak lubię. Takie, jak sobie zaplanowałam.

Dylan milczał. Wszystko się zgadza. Dobra praca w znanym szpitalu nie pozostawia wiele czasu na wicie przytulnego gniazda. A ten apartament wcale nie jest przytulny. Wyglądał jak dekoracja do serii zdjęć dla jakiegoś pisma o urządzeniu wnętrz. Doskonałe miejskie lokum dla młodej osoby

ukierunkowanej na robienie wielkiej kariery. Nowoczesne, gustownie urządzone i... całkowicie pozbawione duszy.

Czy projektant wnętrz wybierał obrazy zdobiące ściany? Barwne plamy doskonale pasowały do starannie dobranych detali, takich jak poduszki i dywaniki, i jednocześnie przełamowały sterylność biel pozostałych sprzętów. Zbliżał się grudzień, a w tym mieszkaniu nie widać było żadnej oznaki nadchodzących świąt. Na pewno gdzieś w schowku kryje się sztuczna choinka. Biała. Lampki zapewne mają kształt białych sopli lodu.

Trudno sobie wyobrazić wnętrze mniej odpowiednie dla dziecka. Niemal równie trudno byłoby wyobrazić sobie Jane zmieniającą pieluchy, bawiącą się z dzieckiem w kąpielni, puszczającą bańki mydlane czy wydającą zabawne dźwięki dla rozveselenia malucha.

Wydało się to Dylanowi niewiarygodnie smutne.

Jajecznicę wyszła wspaniale. Smaku dodawała jej posiekana pietruszka i świeżo zmielony czarny pieprz. Do tego zjedli grzanki z pełnoziarnistego chleba. Jane nawet nie zdawała sobie sprawy, jaka jest głodna. W normalnych okolicznościach nalałaby sobie kieliszek białego wina do posiłku, ale dzisiaj wydało jej się to niewłaściwe. Przecież nie pije się alkoholu, mając pod opieką dziecko.

Tyle tylko, że odpowiedzialność za małego człowieka już nie spoczywa na niej. Ulga była tak wielka, że Jane nie potrzebowała wina, by poczuć się lżej. Przełknęła kolejny kęs i spostrzegła, że Dylan z apatycznym wsuwa do ust kawałek chleba z porcją jajecznicę.

– Smakuje?

– Wspaniała. Umiesz gotować.

– Zaskoczony?

O dziwo, uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– To raczej nie jest umiejętność, o którą by się podejrzewało zapracowanego uznanego chirurga.

– A ilu znasz zapracowanych uznanych chirurgów?

– Całe mnóstwo.

– Doprawdy?

Nagle osoba niespodziewanego gościa zaczęła ją ciekawić. Zdjął kurtkę i teraz wydawał się jeszcze mocniej zbudowany. Mięśnie ramion świadczyły o dobrej formie fizycznej. Opalenizna mogła oznaczać, że pracuje na świeżym powietrzu. Z takimi długimi włosami na pewno nie przesiadywał w biurze. I słusznie przewidziała, że ma kolczyk w uchu, tyle że nie było to złote kółko, ale niewielka kuleczka.

– Kim jesteś z zawodu?

– Pielęgniarem – odrzekł sucho i wsunął do ust kolejny kęs, ale bacznie przyglądał się Jane.

Ciemnoniebieskie oczy wpatrywały się w jej twarz, kiedy Dylan czekał na jej reakcję.

A więc to mężczyzna, który zajmuje się pielęgniarstwem. Ona jest chirurgiem kobietą. Czyżby spodziewał się jakiegoś lekceważącego komentarza? Jane po prostu skinęła głową.

– Czyli obaj z Joshem wybraliście zawody związane z medycyną. Specjalizujesz się w jakiejś konkretnej dziedzinie?

Dylan wahał się przez ułamek sekundy. Nie zauważyłaby tego, gdyby nie obserwowała go uważnie, chcąc się przekonać, jak on z kolei zareaguje na jej słowa. Spostrzegła, że jego oczy stały się mniej czujne i pojawił się w nich błysk akceptacji.

Jane, choć sama nie wiedziała dlaczego, poczuła się tak, jakby zdała jakiś egzamin. Udzieliła poprawnej odpowiedzi. Może nawet wygrała jakąś nagrodę.

To przelotne uczucie zadowolenia uświadomiło jej, jaka była spięta i zestresowana, odkąd w jej życiu zjawił się ten człowiek z szokującą wiadomością i dzieckiem.

– Kocham dzieci – odrzekł Dylan. – Jakiś czas pracowałem w sali operacyjnej, ale wolę, kiedy pacjenci są przytomni. Przez ostatnie lata próbowałem wielu specjalności. Pielęgniarstwo to wspaniały zawód, jeśli chce się podróżować, a ja nie potrafię długo usiedzieć w jednym miejscu. Najwyżej kilka miesięcy.

Czyli od początku miała dobre skojarzenia. On z natury jest cyganem. Czy zamierza dalej włóczyć się po świecie, ciągnąc za sobą Sophie?

Jane już otworzyła usta, by powiedzieć, jak bardzo takie życie włóczugi jest nieodpowiednie dla małego dziecka, ale szybko je zamknęła. Nie ma prawa go krytykować. On kocha to dziecko, Sophie jest przy nim szczęśliwa. Pracuje jako pielęgniarz, kocha dzieci i jest stryjem dziewczynki. Koniec historii.

Resztki wątpliwości zniknęły, kiedy Jane spojrzała na Sophie smacznie śpiącą w foteliku samochodowym.

– Czy to dobrze, że ona śpi w foteliku? Może potrzebuje łóżeczka albo kołyski?

– Nie, wszystko w porządku. Będzie spała przy mnie, zabezpieczona poduszkami. Jeśli znajdę jakieś miejsce do spania – dodał.

– Słucham?

– Do szpitala przyjechałem prosto z lotniska. Chciałem prosić, żebyś mi poleciła jakiś hotel, ale w rozmowie jakoś nie doszliśmy do tego etapu.

– Chcesz powiedzieć, że nie masz żadnej rezerwacji? Jest już noc, po dziesiątej! Co robiłeś przez całe popołudnie? Myślałam, że przez ten czas zadbałeś o wszystko, o nocleg, łóżeczko dla dziecka, i tak dalej.

– A więc miałaś nadzieję, że przybędę z powrotem niczym rycerz na białym rumaku, żeby uwolnić cię od odpowiedzialności?

Jane czuła, że gorąca fala zalewa jej szyję i policzki. Właśnie taką miała nadzieję.

– Na jak długo chcesz się zatrzymać?

– Tak długo, jak będzie trzeba.

– Jak będzie trzeba na co? – Ogarnęło ją przerażenie. Przecież nie da się łatwo i szybko załatwić tej sprawy.

– Potrzebujesz czasu – oznajmił spokojnie Dylan. – Musisz przywyknąć do myśli, że jesteś matką. Z tego, co mówiłaś, jest to twoja jedyna szansa na macierzyństwo. – Odsunął talerz, ale nadal intensywnie wpatrywał się w Jane.

– Nigdy nie zamierzałaś mieć dziecka i nie wyglądała na to, żebyś chciała zmienić postanowienie.

Chciała potwierdzić, lecz nie dał jej na to szansy.

– Jeśli nas odeślesz, odejdziemy, ale wtedy pewnie już nigdy nie zobaczysz Sophie. Nigdy się nie dowiesz, jak to jest, kiedy się trzyma dziecko w ramionach ze świadomością, że jest twoje. Że jest całkowicie od ciebie zależne i będzie cię kochać jak nikt inny. Nie śpiesz się, żeby zerwać tę więź, Jane. To może być twoja jedyna szansa na nią. – Wypowiedział jej imię łagodnym melodyjnym tonem, którym wygłosił całą tę przemowę.

Powiedział, że odejdzie, jeśli ona sobie tego zażyczy. Odejdzie i zabierze dziecko. Nie musiałyby już słuchać o tym, że powinna przyjąć na siebie odpowiedzialność. Nie musiałyby czuć się winna ani rozważać, jak to dziecko mogłoby zburzyć jej dotychczasowe życie. Nie musiałyby patrzeć na Dylana w swoim mieszkaniu, tak nie pasującym do jego mocnego ciała i zmierzwionych włosów. Nie musiałyby słuchać, jak mówi z tym swoim akcentem, który przywodził jej na myśl Josha i... Izzy.

Nigdy już nie nazwałby jej po imieniu, jakby dobrze ją znał. Jakby była dla niego ważna.

Wstała od stołu i zebrała puste talerze.

– Dobrze – wykrztusiła w końcu. – Możesz tu dziś zostać na noc.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Coś się zmieniło. Jane otworzyła kolejną kartę pacjenta, którą wręczył jej Mike, i zerknęła na zegarek. Dochodziła dziewiąta. Trwał sobotni obchód, który rozpoczął się o ósmej. Przeszli już przez oddział intensywnej opieki i znajdowali się teraz na pediatrii. Całkowicie zgodnie z planem. Nic ważnego nie uszło ich uwadze. Pozornie wszystko jest tak jak zawsze.

Ale tylko pozornie. Coś, co nie powinno występować tutaj, w pracy, stało się obecne, choć nie potrafiła określić, co to takiego. Starła się stłumić uczucie dziwnego niepokoju. Trudno się przecież dziwić, że życie wydaje jej się dzisiaj inne. W końcu w domu zostawiła półnagię mężczyznę i małe dziecko.

Prawdę mówiąc, nie był półnagi. Miał na sobie wypłowiałe dżinsy i podkoszulek, kiedy o szóstej rano natknęła się na niego w kuchni. Jedną ręką przygotowywał mleko dla dziecka, na drugiej trzymał Sophie, a wszystko to robił zrećnie i bez wysiłku.

Jane nie słyszała, kiedy niemowlę się obudziło. W mieszkaniu panował zwykły spokój, kiedy szła do łazienki. Musieli wyjść z małego pokoju gościnnego, kiedy brała prysznic. Ciemne włoski dziewczynki były niemal tak zmierzwiłone jak u jej stryja, ale tylko on uśmiechnął się do Jane. Sophie raz rzuciła na nią okiem i wybuchnęła głośnym płaczem.

– Kawa – wymamrotała Jane, tak samo jak rano, kiedy tylko tyle zdołała powiedzieć wśród rozdzierających krzyków dziecka.

– Słucham? – zdziwił się Mike. – Chce pani kawy?

– Nie, nie, – Potrząsnęła głową. – Oczywiście, że nie. – Podniosła wzrok znad papierów i zerknęła na otwarte drzwi do sali obok. Musi szybko znaleźć

jakieś wytłumaczenie. – Rodzice Matthew wyglądają na zmęczonych, nie sądzisz? Kawa dobrze by im zrobiła.

Młody lekarz spojrział na nią niepewnie. Zignorowała go i weszła do sali, gdzie piętnastomiesięczny Matthew stał w łóżeczku, uderzając plastikowym młotkiem w barierkę. Ojciec usiłował mu czytać bajeczkę, a matka, Sara, zbierała zabawki, które dziecko zrzuciło na podłogę.

Jane uśmiechnęła się.

– Widzę, że Matthew czuje się dziś o wiele lepiej. Uśmiech na twarzy Sary sprawił, że nie wyglądała

już na tak bardzo zmęczoną.

– Czy to nie wspaniałe? Zachowuje się prawie tak jak zwykle.

– Udało się państwu złapać trochę snu?

– Bardzo niewiele.

– Możemy dać mu dziś trochę więcej swobody. Szybko wraca do formy, jeśli weźmiemy pod uwagę, że zaledwie trzy dni temu przeszedł operację.

– A co z wynikami badań? – Ojciec chłopca odłożył książeczkę z obrazkami. – Czy już nadeszły?

– Większość. Potwierdziły wnioski, do których doszliśmy podczas operacji. To neuroblastoma w pierwszym stopniu.

– To dobrze, prawda? – Sara wrzuciła zabawki do łóżeczka. Dziecko podniosło rączki i zaszczebiotało, więc automatycznie wzięła je w ramiona.

– Na nic lepszego nie mogliśmy mieć nadziei – potwierdziła Jane. – Udało nam się całkowicie usunąć guz. Znaleźliśmy bardzo niewiele mikroskopijnych szczątkowych pozostałości. W węzłach limfatycznych nie stwierdzono oznak choroby.

W oczach Sary zabłyśły łzy.

– Czy to znaczy, że wyzdrowieje?

– Ryzyko nawrotu choroby jest bardzo małe. – Jane musiała zasygnalizować taką możliwość. – Mój udział w leczeniu na razie się kończy. Wkrótce zjawi się tu zespół onkologów, żeby zbadać Matthew i porozmawiać z państwem. To oni podejmą decyzję co do chemioterapii lub innej dalszej formy leczenia.

– A więc rak może wrócić. – Ojciec Matthew stanął obok żony i syna. Otoczył ramieniem Sarę. Chłopczyk roześmiał się i wyciągnął pulchną rączkę.

– Tata, tata, tata! – zawołał, dumny z siebie.

– Pięcioletni okres przeżycia w przypadku dzieci w stadium pierwszym tej choroby wynosi siedemdziesiąt do dziewięćdziesięciu procent – odrzekła Jane, starając się mówić optymistycznym tonem. – Będziemy go uważnie obserwować, ale szanse są duże. Bardzo duże.

Jednak niewystarczająco duże, sądząc po wyrazie oczu rodziców.

Ten strach widziała już wiele razy. Jane specjalizowała się w leczeniu pacjentów w rodzaju małego Matthew, którym potrzebna była operacja dla wyleczenia nowotworów wieku dziecięcego. Była w tym bardzo dobra i wiedziała, że jej umiejętności zwiększają szanse małych pacjentów na przeżycie. Czasami sama operacja wystarczyła do całkowitego zwalczania choroby.

Tak, przyzwyczała się do widoku tego strachu. Rozumiała go i starała się go niwelować.

Ale tym razem było inaczej. Jane nie tylko zobaczyła i zrozumiała ten strach. Dzisiaj również go poczuła, jakby należał do niej. Jakby przed nią stali Izzy i Josh, trzymając na rękach Sophie, i jakby to im właśnie oznajmiła, jakie są szanse na wyzdrowienie. A wcale nie brzmiały one tak optymistycznie, jeśli spojrzeć na nie z innej perspektywy. Istniało dziesięć do trzydziestu procent ryzyka, że dziecko nie przeżyje.

Właśnie to się dziś zmieniło.

Jej życie stanęło na głowie, ponieważ zjawilo się w nim dziecko, z którym jest nierozzerwalnie związana, czy jej się to podobało, czy nie. Jane patrzyła teraz na świat z zupełnie innej perspektywy.

Z perspektywy bardzo niebezpiecznej, której dotychczas za wszelką cenę starała się unikać. Była dobrym chirurgiem i zamierzała zostać jeszcze lepszym. Nie mogła sobie pozwolić na rozkojarzenie lub wypalenie zawodowe, a jeśli zacznie podchodzić do pracy zbyt emocjonalnie, właśnie to ją czeka.

Nie znaczy to, że nie współczuła małym pacjentom i ich rodzinom. Musi jednak podchodzić do swoich przypadków rozsądnie i naukowo, a więc z odpowiednim dystansem. Musi myśleć jak lekarz, a nie rodzic.

Żyła w przekonaniu, że jeśli zostanie matką, może to zaburzyć jej trzeźwy osąd. Wpływać na jej decyzje. Wyssać z niej więcej sił za każdym razem, kiedy trzeba będzie podjąć trudną decyzję albo pogodzić się z dramatycznym niepowodzeniem. Nie może zostać matką.

Sophie też to chyba wie, bo nie znosi jej widoku, co tak wyraźnie, zademonstrowała dzisiejszego ranka. No i bardzo dobrze. Łatwiej będzie rozwikłać ten problem. Całe szczęście, że nadchodzi weekend; będzie można się skupić wyłącznie na sprawie dziecka.

Przed wyjściem z pracy, tuż po jedenastej trzydzieści, Jane zajrzała do dyżurki pielęgniarek.

– Sally, bardzo ci dziękuję za wczorajszą pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Siostra przełożona uśmiechnęła się do niej. – Takie śliczne maleństwo. Zajmowanie się nią to przyjemność. – Sięgnęła po karty, które Jane odłożyła na kozetkę. – Stale zapominamy, że większość dzieci na świecie to zdrowe i wesołe bobasy, jak ona. Pracując w tym miejscu, mamy nieco skrzywiony obraz rzeczywistości.

– No tak... – Jane odniosła deprymujące wrażenie, że pielęgniarka wyczuła jej dzisiejsze przemyślenia.

Czy miała na myśli to, że pediatrzy, będący jednocześnie rodzicami, inaczej patrzą na swoją pracę? Bardziej realistycznie? Może doznają ulgi w wywołanym pracą stresie, doceniając swoje zdrowe potomstwo?

Nadal jednak Jane uważała, że lekarze mający dzieci zbytnio wczuwają się w emocje rodziców swych pacjentów, co przeszkadza im w osiągnięciu prawdziwej doskonałości w zawodzie.

A ona zamierza osiągnąć doskonałość.

Sally wkładała karty do segregatora.

– Czy udało się zażegnać kryzys, przez który trzeba było zająć się małą Sophie?

– Pracujemy nad tym. – Jane wahała się przez chwilę. Sally była doświadczoną kobietą, o bardzo macierzyńskim podejściu do świata. – To dziecko jest sierotą.

– Biedne maleństwo! – Na twarzy Sally odmalowało się wielkie współczucie.

Jane nie chciała podążać w tym kierunku, żeby nie zacząć uzalać się nad Sophie.

– Opiekuje się nią stryj. Bardzo ją kocha.

– Aha. – Sally stała plecami do Jane, ale rzuciła jej przez ramię szybkie spojrzenie. – To pewnie ten, który wczoraj chciał się z tobą widzieć?

Jane zamrugnęła oczami. Szpitalna poczta pantoflowa działała zdumiewająco szybko.

– Ale dlaczego przyszedł właśnie tutaj? – spytała ostrożnie pielęgniarka. Wiedziała, że być może przekracza granicę, za którą pytanie zostanie uznane za zbyt osobiste, ale wyraźnie ciekawość wzięła górę.

Oznacza to też, że sekret jeszcze nie wyszedł na jaw. Czując ulgę, Jane postanowiła uchylić rąbka tajemnicy.

– Pamiętasz Isobel Summers? Mniej więcej dwa lata temu pracowała tu jako lekarz w izbie przyjęć.

– Nazwisko wydaje się znajome.

– Była moja najlepszą przyjaciółką. Jest... matką Sophie. A raczej była.

– O nie! Tak mi przykro. Co za straszna historia. Jane podziękowała za wyrazy współczucia krótkim

skinieniem głowy i bladym uśmiechem.

– Dylan, czyli stryj Sophie, chciał mi osobiście przekazać tę wiadomość.

Sally skinęła głową.

– To bardzo miło z jego strony. Spodziewam się, że wychowaniem dziecka zajmą się dziadkowie, tak? Może rodzina Isobel? Dlatego tu przyjechał?

– Możliwe.

Takie wyjście nie przyszło Jane do głowy i przez chwilę wydawało się wręcz doskonałe. Szybko jednak musiała z niego zrezygnować. Izzy dawno straciła kontakt z matką, która od wielu lat bardziej przejmowała się nowym mężem niż życiem córki. Dlaczego miałyby się zdecydować na wychowywanie dziecka, z którym wcale nie jest genetycznie związana?

Jane stłumiła westchnienie i ruszyła do wyjścia.

– Właściwie przyszłam tutaj ci powiedzieć, że na resztę weekendu wyjeżdżam. Oczywiście będzie się można ze mną kontaktować przez komórkę. Gdyby zaistniała potrzeba, mogę wrócić w ciągu godziny.

– Ale nie masz dyżuru telefonicznego?

– Nie.

– Nie powinnaś stale być na każde zawołanie – pouczyła ją troskliwie Sally. – Wyjedź i zrelaksuj się. Jedziesz do domu matki w Akaroa?

Skinęła głową.

– Nie zaglądałam tam od kilku miesięcy, więc ogród pewnie zarósł. Muszę... zrobić sobie krótki odpoczynek.

Właściwie to została do tego wyjazdu zmuszona.

Nie mogła zaprotestować, gdy Dylan oznajmił, że nie powinien dłużej mieszkać z Sophie w jej mieszkaniu, ponieważ nie jest to miejsce dobre dla dziecka. Sama wiedziała o tym najlepiej. Miał również rację, kiedy stwierdził, że potrzebują czasu do omówienia tej sytuacji i zasugerował zmianę miejsca na jakieś bardziej oddalone od szpitala. Tylko dlaczego natychmiast zaproponowała, żeby skorzystali z domu w Akaroi?

To była jej osobista kryjówka. Spokojna przystań, gdzie odzyskiwała siły i jasność rozumowania.

Chyba dlatego, że to było oczywiste, doskonałe i wygodne rozwiązanie. Można tam było łatwo uciec przed płaczem dziecka, nie wspominając o niepokojącym widoku nagiego torsu Dylana. Zaproponowała więc wyjazd, a Dylan wyraził zgodę. Teraz było już za późno, by się wycofać. Wyszukanie jakiegoś domku do wynajęcia potrwałoby zbyt długo, a hotel nie byłby odpowiednim miejscem do tak osobistych i ważnych dyskusji.

– Oczywiście, że potrzebny ci odpoczynek – życzliwie potwierdziła Sally. Jej przyjazne spojrzenie sprawiło, że Jane znów siłą powstrzymała łzy. – Otrzymałaś tragiczną wiadomość. Mam nadzieję, że jedziesz tam w towarzystwie kogoś, kto cię rozumie.

– Też mam taką nadzieję – odrzekła ze smutkiem.

– O! Spodziewałem się zupełnie innego samochodu. Jane otworzyła tylne drzwi samochodu typu SUV – komfortowego, sportowo–użytkowego olbrzyma.

– Kazałam go dziś przyprowadzić pod szpital. Jest wynajęty – wyjaśniła.

– A jakiego samochodu się po mnie spodziewałeś? – spytała wyzywająco.

Dylan uśmiechnął się szeroko.

– To proste. Jakiegoś zgrabnego i seksownego autka. Na przykład kabrioletu marki BMW.

Zaczerwieniła się po uszy. Czy to przez jego niedopowiedzianą sugestię, że i ona jest zgrabna i seksowna? Właściwie była bardzo zgrabna i seksowna. Zwłaszcza teraz, kiedy zdjęła lekarski fartuch. Miała na sobie obcisłą czarną spódnicę, bluzkę i kamizelkę, bardzo modny, ale jednocześnie dość oficjalny strój. Czarne szpilki prezentowały się nawet lepiej niż wysokie kozaczki, które wcześniej wyobrażał sobie Dylan.

Na szczęście Jane nachyliła się, by złożyć tylne siedzenia, więc nie widziała, jak Dylan szacuje ją pełnym aprobaty wzrokiem. Tym bardziej był zaskoczony, kiedy zobaczył jej zaczerwienioną z zażenowania twarz.

– Zostawiłam beemkę w garażu – wymamrotała. – Trafnie się domyśliłeś. Wzruszył ramionami.

– To było łatwe. Zwłaszcza po tym, jak wręczyłaś mi złotą kartę kredytową i wysłałaś na orgię zakupów do działu dziecięcego w domu towarowym.

– Kupiłeś wszystko, co może być potrzebne?

– Chyba tak. W każdym razie wszystkie największe rzeczy. Łóżeczko, wózek, nosidełko i kocyki. Zobacz, dostałem taki podarunek. – Ostrożnie wyjął z kieszeni coś niewielkiego.

– Co to jest?

– Opaska na głowę. – Dylan pokazał jej kawałek miękkiego materiału. –
Z motywem świątecznym.

Jane spojrzała na białą opaskę ozdobioną motywem z liści ostrokrzewu i czerwonych jagód.

– Przecież dopiero listopad.

Nawet gdyby to był ostatni tydzień grudnia, i tak nie miałyby to dla niej znaczenia. W życiu doktor Walters najwyraźniej brakuje miejsca na świąteczne uroczystości i zabawy. Pewnie uważa je za fanaberie wprowadzające zamęt i zaburzające ustalony, regularny tryb pracy.

– Nie zaszkodzi się przygotować – odparł łagodnie.

– A poza tym Sophie ślicznie w niej wyglądała. Wszystkie sprzedawczynie orzekły, że tak słodkiej dziewczynki jeszcze nie widziały. Były mi bardzo pomocne.

– Nie wątpię. – Sceptycznie uniosła brwi. Dylan zignorował ukrytą aluzję.

– Rozumiem, że tam, gdzie jedziemy, są sklepy z jedzeniem dla niemowląt?

– Akaroa to popularna miejscowość turystyczna. Znajdziesz tam dobre restauracje, butiki, ale też supermarket i aptekę. Są tam lekarze, a nawet mały szpital, gdyby zaistniała potrzeba.

– Świetnie. Może znajdę tam pracę.

To zdanie ją zaniepokoiło.

– Nie sądziłam, że zamierzasz tu zostać tak długo. A poza tym, kto by się opiekował Sophie?

Po raz pierwszy użyła imienia dziewczynki. Jeden krok do przodu, dwa do tyłu?

–Przyniosę zakupy. Poprosiłem, żeby dostarczono je do holu na parterze. Muszę ci się przyznać, że jakaś starsza pani przyglądała mi się bardzo krytycznie.

– To pewnie pani Connell. Pomóc ci?

– Tak. Potrzyjmy Sophie.

– Ale wolałabym...

Dylan nie dał jej czasu na wymówkę. Przysunął jej do piersi owinięte kocym niemowlę, więc musiała objąć je i przytrzymać, choć widać było, że jego stanowczy gest to dla niej nagły szok.

On sam również był w lekkim szoku. Nie dlatego, że chłodna pani doktor objęła małą Sophie, ale ze względu na to, co odczuł, kiedy jego ręka przypadkiem otarła się przelotnie o biust Jane. Szybko wziął się za wkładanie rzeczy na tył samochodu. Nie przyjechał tu po to, by ulegać wdziękom biologicznej matki Sophie. Nie ma mowy! Ona nawet nie jest w jego typie!

Kiedy układał trzykołowy wózek na szczycie sterty pudeł, Sophie zaczęła płakać. Kiedy pakował wiklinowy kosz i pościel, zawodziła na cały regulator. Przy plastikowej wanience, macie do przewijania i pudle z mokrymi chusteczkami higienicznymi stało się jasne, że Jane jest co najmniej tak zdenerwowana jak Sophie. Nadszedł czas, by pośpieszyć jej na ratunek.

– Ona mnie nie znosi – stwierdziła bez owijania w bawełnę, gdy Dylan brał z jej rąk niemowlę. Zamknęła pilotem drzwi samochodu. – Muszę się przebrać.

Gdy zniknęła w budynku, Dylan spojrzał na drobną, poczerwieniałą buzię dziecka.

– Wcale mi nie pomagasz, wiesz? – powiedział smutno. – Daj jej szansę, co? Ona nam ją daje.

Rzeczywiście tak było. Zgodziła się, że jej elegancki apartament jest kompletnie nieodpowiedni dla malucha. Zaproponowała inne lokum. Umieblowany dom letni położony w małej nadmorskiej miejscowości wygląda na idealne rozwiązanie. Spokojne miejsce, gdzie będą mieli okazję porozmawiać. On może tam zostać; jak długo zapragnie. Tak długo, ile będzie trzeba, by wymyślić najlepsze rozwiązanie sytuacji. Doskonale. Tak mu się przynajmniej wydawało, dopóki nie zastanowił się nad tym głębiej. Ta mała miejscowość na pewno znajduje się na tyle daleko od szpitala, że zawodowe problemy nie będą rozpraszały Jane. Ale czy nie zbyt daleko? Czy nie jest to próba odsunięcia na bok jego i Sophie? Co z oczu, to i z serca?

Musi się nad tym zastanowić. Jane zostanie z nimi w Akaroi co najmniej do następnego dnia. Miał nadzieję, że do tego czasu wpadnie mu do głowy jakieś rozwiązanie.

Sophie spała smacznie w swoim foteliku, ale jeśli chodzi o Jane, to dziecko równie dobrze mogło znajdować się na innej planecie, tak bardzo wydawała się pochłonięta prowadzeniem samochodu. Postanowiła udzielić Dylanowi lekcji historii Nowej Zelandii.

– Jedziemy na południowy wschód – poinformowała go, kiedy miasto zniknęło za nimi. – To jest półwysep Bank, który w 1830 roku został sprzedany kapitanowi francuskiego statku wielorybniczego. Gdyby Francuzi zadziałali szybciej, Nowa Zelandia stałaby się posiadłością francuską, a nie kolonią brytyjską.

– Doprawdy? – Dylan wolał rozmowę na bardziej osobiste tematy. – A jaki jest twój związek z tą okolicą?

– Moja babka była potomkinią jednego z pierwszych osadników. Ulica, przy której stoi jej dom, nosi nazwę na cześć jej rodziny. Rue Brabant, numer trzy.

– Rue? Po francusku „ulica”?

– Akaroa to jedyna francuska osada w Nowej Zelandii. Panuje tam bardzo szczególna atmosfera, a mieszkańcy przywiązują wielką wagę do dziedzictwa pierwszych osadników.

– Odziedziczyłaś ten dom po babci?

– Nie. Zostawiła go swojej córce, czyli mojej matce.

Ta informacja go zaniepokoiła. Czyżby Jane wiozła jego i Sophie do swojej matki? Starszej i prawdopodobnie jeszcze bardziej zasadniczej wersji siebie samej?

– Nie bój się. Mojej mamy tam nie ma. Rzadko odwiedzała ten dom, na ogół w czasie weekendu. Zmarła kilka lat temu. Wkrótce po tym, jak przeszła na emeryturę.

– Bardzo mi przykro. A twój ojciec?

– Również nie żyje.

– Ale... – Dylan zmarszczył brwi. – Czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Możesz. Ale nie gwarantuję, że na nie odpowiem.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści pięć. Dlaczego pytasz?

– Twoi rodzice musieli umrzeć bardzo młodo.

– Dość młodo, ale nie tragicznie. Ojciec był po sześćdziesiątce, mama dobiegła do siedemdziesiątki.

– Ale... – Dylana nadal nurtowały jakieś wątpliwości. – Masz tylko trzydzieści pięć lat. A ile czasu upłynęło od śmierci twojej mamy?

– Można powiedzieć, że jestem bardzo późnym dzieckiem – odrzekła niechętnie. – Mama urodziła mnie w wieku czterdziestu trzech lat.

– Aha.

Dylan postanowił zapamiętać tę informację. Zerknął przez ramię na Sophie, by się upewnić, czy wszystko w porządku. Rozejrzawszy się po mijanej okolicy, zdecydował, że warto wydobyć z Jane dalsze informacje. W końcu wiedza to potęga.

– Moja mama zmarła na zapalenie płuc —oznajmił niepytany. – Od zawsze zmagala się z chorobami płuc. A jak odeszli twoi rodzice?

– Ojciec zapracował się na śmierć. Taka ironia losu. Był kardiologiem, a zmarł na zawał serca.

– A mama?

– Była neurologiem. Przeszła na emeryturę w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat i chyba umarła z nudów. Praca była dla niej całym życiem.

– Jesteś więc sierotą – zakonkludował Dylan ze współczuciem. – Zupełnie jak Sophie.

Błąd. Palce Jane kurczowo objęły kierownicę, usta zacisnęły się w wąską linię, co było dla niego jasnym sygnałem, że nie powinien był tego mówić.

Próbował załagodzić sytuację.

– Twoi rodzice to musieli być wyjątkowi ludzie. Od razu lepiej. Jane z aprobatą skinęła głową.

Mijali właśnie miejscowość Cooptown, więc musiała zwolnić.

– Owszem, byli – odrzekła z dumą. – Oboje poświęcili się pracy i otaczał ich powszechny szacunek.

– Byłaś jedynaczką?

– Tak.

– Niespodziewanym dzieckiem? – Starannie dobrał słowa, żeby nie urazić Jane.

– Późnie dzieci z reguły są niespodziewane, prawda? Moi rodzice bardzo się ucieszyli, jak już przyzwyczaili się do myśli, że urodzi im się dziecko.

– Ale mieli interesującą pracę, odpowiedzialne stanowiska. Pewnie nie znajdowali wiele czasu na życie rodzinne?

– Rodzice byli wspaniali – odrzekła sztywno. – Kochali mnie, a ja ich. Tak, oboje byli zapracowani, ale dla mnie starali się, jak umieli.

Było to jednak za mało, prawda? Chociaż Jane usiłowała za wszelką cenę być dzielna, z jej słów przebijał smutek samotnej dziewczyny. Dylan zadał następne pytanie jeszcze łagodniejszym tonem.

– Miałaś nianię?

– Tak. Wspaniałą kobietę.

– I uczyłaś się w szkołach z internatem?

– W bardzo dobrych szkołach. Byłam szczęśliwa.

Teraz w jej głosie zabrzmiał defensywny ton. Dylan mruknął coś pod nosem i oboje popadli w milczenie. Po dłuższej chwili ciszy Jane westchnęła.

– No dobrze. Co próbujesz udowodnić? A więc ona wie.

– Moim zdaniem na skutek osobistych doświadczeń doszłaś do przekonania, że kariera zawodowa i bycie dobrą matką wykluczają się wzajemnie.

Jane prychnęła lekceważąco.

– Dziękuję, panie Freud.

– Przecież nie musi tak być. – Czy Jane zachowuje się tak defensywnie, bo przeżywa wewnętrzny konflikt? Czyżby jakaś część jej osobowości pragnęła być matką? Nawet jeśli to niewielka część, warto o nią zadbać.

– W zawodzie, który wybrałam, musi. – Pokonywała ostre zakręty, z godną podziwu łatwością manewrując ciężkim samochodem na wąskiej, biegnącej ostro w górę drodze. – Nie ma czasu, żeby kibicować dziecku podczas szkolnego dnia sportu, bo trzeba przeprowadzić operację według grafiku albo wygłosić referat na konferencji w Mediolanie. Nie można być obecnym

przy zdmuchiwaniu świeczek z urodzinowego tortu, bo właśnie wezwano cię do ciężkiego przypadku. Albo...

Jane wzięła głęboki oddech, pokonując kolejny zakręt. Potrząsnęła głową.

– Tyle różnych sytuacji. Każda z osobna nie jest przesadnie ważna, ale razem to co innego. Wszyscy zainteresowani by na tym ucierpieli. Dobrze o tym wiem. Koniec historii.

Smutnej historii. Dylan wyczuwał w niej ból samotnego dziecka, spragnionego uwagi rodziców. Czy dlatego poszła ich śladem przy wyborze zawodu? Szukała aprobaty i wspólnej płaszczyzny porozumienia?

Czy tak bardzo odczuła brak rodziców w dzieciństwie, że nie chciała narażać na to samo kogoś innego? Na przykład własnego dziecka?

Tym razem to Dylan westchnął. Nie spodziewał się, że natrafi na tak mocną barierę. Może popełnił błąd, przyjeżdżając tutaj, ale przecież skąd miał wiedzieć? Nadal nie miał pojęcia, co się dzieje w głowie Jane ani, co ważniejsze, w jej sercu. Musiała się zmierzyć z problemami, które zapewne już dawno zepchnęła w niepamięć. Uznała je za nieważne. Na pewno jest zagubiona, przynajmniej trochę. W dodatku cierpi po śmierci przyjaciółki. Płakała, zanim wczoraj pojawił się w jej mieszkaniu.. Nie chciała mu się zwierzać, ale to nie znaczy, że nie przeżywa burzy uczuć. Tak gwałtownej, że uniemożliwiającej racjonalne myślenie o przyszłości.

Przyszłości Sophie.

Jane potrzebuje czasu, i to jest w porządku. Chodzi tu o losy Sophie, więc on też potrzebuje czasu. Musi poznać tę kobietę trochę lepiej. Nie zamierzał jej namawiać, by wzięła udział w wychowaniu bratanicy, jeśli nie będzie to najlepsza możliwa opcja.

Dylan zamilkł, zarówno po to, by zebrać myśli, jak i w nadziei, że napięta atmosfera w samochodzie nieco się rozluźni. Jednak kiedy dotarli na szczyt wysokiego wzgórza, nie potrafił dłużej zachować ciszy.

– Ale widok! – wykrzyknął. – Zobacz tylko!

Jane z uśmiechem zjechała na parking przy tawernie Hilltop. Zaparkowała tak, żeby mogli w pełni podziwiać panoramę. W dali przed nimi, za połącią zielonych wzgórz i dolin, połyskiwały na niebiesko wody zatoki. Wzgórza zdawały się schodzić prosto do morza, a nieregularna linia brzegowa świadczyła o tym, że można tam znaleźć mnóstwo zatoczek i bezludnych plaż.

Dylan musiał wysiąść z samochodu. Osłonił dłonią oczy i przez kilka długich minut wpatrywał się w piękny widok. Łatwo można było zignorować nieliczne ślady ludzkiej działalności. Okolica w większości wydawała się nieskażona cywilizacją, dziewicza. Doskonała.

– Wspaniale, prawda? – odezwała się cicho Jane, stając za jego plecami.

– Ten widok nigdy mi się nie znudzi. Warto tu jechać tą okropną drogą.

– To najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałem – oznajmił Dylan. Odwrócił się i spojrzał jej prosto w oczy. – Dziękuję, że mnie tu przywiozłaś.

Dylan spostrzegł, że jego reakcja sprawiła jej autentyczną przyjemność i po raz pierwszy poczuł, że coś go łączy z tą kobietą. Wreszcie coś wspólnego, co do czego się zgadzali. Szkoda tylko, że nie ma to żadnego związku z dzieckiem, które smacznie spało.

Mimo to, wsiadając z powrotem do samochodu, czuł się szczęśliwy. Jak może być inaczej w tej zaczarowanej krainie? Mijali odległe domostwa i pola. Minęli fabrykę sera i znaleźli się na wybrzeżu. Wkrótce dotarli do miejscowości Akaroa, na tyle malowniczej, że po cudownych wrażeniach w drodze jej widok go nie rozczarował.

– Podoba mi się tu – stwierdził, kiedy dotarli na drugi koniec miasteczka.
– Nazwy ulic, latarnia morska, pawilon na końcu mola, francuskie flagi.
Wszystko mi się podoba!

– Tu jest inaczej, prawda? Akaroa przyciąga artystów i oryginałów wszelkiej maści. – Jane skrzyła w wąską uliczkę. – Będziesz się tu czuł jak u siebie w domu.

– Słucham? Jestem pielęgniarzem, nie artystą.

– Chodzi mi o to... – Jane znów się zaczerwieniła. Jak mógł kiedyś sądzić, że ta kobieta jest zimna i doskonale opanowana? – Chodzi mi o to, że jesteś taki... inny.

– Czyżby? – Dylan nie był pewien, czy ten opis mu odpowiada. Ale może to dobrze? – Dlaczego inny?

Jane zagryzła wargę.

– Szczerze?

– Jasne.

– Kiedy cię zobaczyłam wczoraj w izbie przyjęć, pomyślałam sobie, że wyglądasz jak cygan. I że na pewno byłbyś szczęśliwszy, trzymając gitarę, a nie dziecko.

Dylan zauważył, że jej własne słowa ją onieśmieliły. Nie spodziewał się tego, ale bardzo mu się to spodobało. Zwrócił uwagę na jej oczy. Rzeczywiście miały niezwykle kolor. Nie całkiem zielone i nie brązowe. Jedyne w swoim rodzaju. Intrygujące.

Uśmiechnął się.

– Dobrze się domyśliłaś. Uwielbiam grać na gitarze – wyznał.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Znów się do niej uśmiechnął. Jeszcze nigdy nie widziała takiego uśmiechu. Patrząc na niego, czuła, że go uszczęśliwia, i jednocześnie sama wtedy czuła się wspaniale. To miłe uczucie przenikało ją na wskroś.

Dziwne, zważywszy, że w większości spraw stanowili zupełnie przeciwieństwo. Ona trzymała w garażu BMW na te rzadkie okazje, kiedy mogła się cieszyć jazdą samochodem. On uwielbiał grać na gitarze i pewnie spędzał całe godziny, muzykując.

Przyszło jej na myśl wyświechtane powiedzenie o przeciwieństwach, które się przyciągają.

Nie! To absurd. Po prostu Dylan ma uroczy uśmiech i to wszystko. Taki uśmiech sprawia, że zapomina się o rzeczywistości. A jej rzeczywistość obejmuje stresującą pracę, żałobę po utracie przyjaciółki i niespodziewane pojawienie się w jej życiu dziecka...

Musi o tym wszystkim pamiętać, nie dawać się uwieść ujmującemu uśmiechowi i wyobrażać sobie, że ten mężczyzna ją pociąga. Lepiej oderwać wzrok od jego twarzy i nie poddawać się fantazjom.

Wysiadła i zaczęła przy drewnianej furtce w żywopłocie, aż Dylan wyjmie z samochodu fotelik i torby z zakupami.

– Przepraszam za bałagan – powiedziała. – Kiedyś zatrudniałam ogrodnika, ale trzy miesiące temu dostał lekkiego wylewu i już nie może pracować. Nie miałam czasu, żeby poszukać kogoś na jego miejsce.

Dylan ręką osłonił Sophie przed kolczastymi gałązkami żywopłotu. Osłonił dziecko odruchowo, nie dbając o to, że jego samego mogą zranić ostre kolce. Dobrze wiedzieć, że umie zajmować się bezbronną istotą. Opiekun doskonały.

Czując, że Dylan ją obserwuje, odwróciła wzrok i napała ramieniem na furtkę. Otworzyła się z trudem.

– Nie przejmuj się – odrzekł, podążając za nią wąską brukowaną ścieżką, na której łodygi nieprzyciętych róż uderzały ich w łydki. – To...

Patrzył na dom jak urzeczony. Sophie kwiliła cicho, ale ten dźwięk jeszcze nie przeniknął do świadomości Dylana. Jane również spojrzała na dom, starając się nie myśleć o tym, co należy zrobić w ogrodzie. Chciała zobaczyć to, co widział Dylan. Jego twarz znów przybrała wyraz zachwytu, podobnie jak na szczycie wzgórza, kiedy ujrział widok na zatokę.

Dom liczył sobie dobrze ponad sto lat. Stromy dach kryty szarą blachą falistą był obramowany rzeźbionymi w ażurowe wzory deskami szczytowymi. Wyrastały z niego ceglane kominy ozdobione glinianymi zwieńczeniami. Okna na poddaszu miały małe kwadratowe szybki. Weranda wzdłuż całej szerokości parteru była porośnięta kwitnącymi pnączami wisterii. Długie delikatne niebieskie kwiaty zwisały do ziemi, niemal stykając się z grządkami bujnej lawendy. Na werandzie można było dostrzec wiklinowe meble i wychodzące na nią przeszklone drzwi oraz okna.

Jane musiała się zgodzić, że dom jest ładny nawet w stanie zaniedbania. Przyjeżdżała tu, odkąd tylko sięgała pamięcią, i zawsze uwielbiała tu przebywać.

– Wspaniały. – Dylan obdarzył ją kolejnym uśmiechem. – Najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałem.

– Wejźmy. – Jane skupiła się na odszukaniu właściwego klucza. Nie chciała rozmyślać nad tym, dlaczego zachwyty Dylana spotęgował dziesięciokrotnie uczucie więzi, którą poczuła, gdy się do niej uśmiechnął.

Dom mu się spodobał, i to wszystko. Wielu ludzi uwielbia stare domy, a komuś takiemu jak Dylan na pewno podobałoby się mieszkanie w miejscu,

gdzie nie trzeba przesadnie uważać na zachowanie czystości i porządku. Przecież on nie rozumie, jak wyjątkową pozycję w jej życiu zajmuje to domostwo. Tutaj spędzała szkolne wakacje. Tutaj bawiła się beztrąsko, otoczona miłością ludzi, dla których była najważniejsza.

– W środku jest pewnie trochę wilgotno — ostrzegła, otwierając drzwi. – Włączę prąd i wodę. Potem rozpalę piecyk węglowy, ale najpierw pójde do sklepu. Najwyższy czas na lunch. Pewnie umierasz z głodu.

– No, zjadłbym coś – przyznał Dylan. – Przedtem jednak nakarmię Sophie.

Tak. Jest dobrym opiekunem. Jane nie musiała czuć się winna, zostawiając niemowlę pod opieką dalszego krewnego. Nadal jednak nękały ją wątpliwości.

Wprowadziła Dylana do urządzonej w stylu wiejskim kuchni, która zajmowała niemal połowę parteru, i włączyła prąd.

– Potrzebujesz pomocy?

– Na razie dam sobie radę – odparł. – To dobry pomysł, żebyś zajęła się lunchem.

– W pojemnikach znajdziesz kawę i herbatę, ale muszę kupić mleko.

Na drewnianym blacie otaczającym ceramiczny zlew ukazała się puszka z mlekiem dla dziecka i butelka.

– Na werandzie stoi bujany fotel – rzekła Jane. – W taki dzień jak dzisiejszy to wygodne miejsce do karmienia dziecka.

Dylan uśmiechnął się, a ona odczuła nagłą potrzebę ucieczki.

– Niedługo będę z powrotem – obiecała.

I rzeczywiście. Kiedy wróciła z zakupami po niespełna półgodzinie, znalazła Dylana w miejscu, które mu poleciła. Dostrzegła go, zanim on zauważył ją na ścieżce. Nieświadomie zwolniła kroku. Jakaś jej część chciała

się zatrzymać, by utrwalić w pamięci tę scenę. Ale i tak wiedziała, że nigdy nie zapomni tego widoku.

Dylan siedział w fotelu bujanym, trzymając Sophie na ramieniu. W drugiej ręce trzymał butelkę, a dziewczynka obejmowała rączką jego palec, jakby chciała mu pomóc. Oboje patrzyli sobie w oczy w takim skupieniu, że Jane poczuła się nagle wyrzucona poza nawias.

Przecież nie chciała wkraczać w życie małej Sophie ani tworzyć z nią silnych więzi, dlaczego więc odniosła wrażenie, że coś traci? Coś bardzo ważnego.

Może dlatego, że znajdowali się w miejscu, z którym wiązało się tyle dobrych wspomnień z jej dzieciństwa. Weranda, bujany fotel. Odległe wspomnienie chwil, kiedy babcia kołysała ją na kolanach, czytając bajkę do snu, sprawiło, że łzy napłynęły jej do oczu.

Dobry Boże! Staje się emocjonalnym wrakiem! Nigdy nie pozwalała sobie na okazywanie słabości. Zalewanie się łzami w tak krótkich odstępach czasu jest równie niedopuszczalne, jak... myśl o macierzyństwie!

Dylan ją zauważył, ale chyba nie zwrócił uwagi na to, że mruga oczami, starając się powstrzymać łzy.

– Już wróciła! – rzekł do Sophie takim tonem, jakby powrót Jane był czymś radosnym i od dawna wyczekiwanym. – I pewnie w tych torbach przyniosła mi jedzenie.

– Owszem. – Jane nareszcie mogła być pomocna i opiekuńcza. – Kupiłam świeży chleb, mleko, szynkę, ser, ciasteczka i owoce.

Dylan odstawił butelkę, oparł sobie dziecko na ramieniu i zaczął masować jego plecki. Nagle Sophie beknęła zdecydowanie mało elegancko. Spojrzeli na siebie jednocześnie i roześmiali się.

Jane przez chwilę miała wrażenie, że upadnie. Musiała chwycić się barierki, by odzyskać równowagę.

– Zaparzę kawę – zaproponowała.

– Bardzo proszę. Za kanapkę z szynką i filiżankę kawy zrobię wszystko, pani doktor.

Nie było powodu, by się czerwienić ani tak szybko odwracać wzroku. Przecież nie jest z natury wstydliva. Co się z nią dzieje?

Wbiegła do domu, postawiła zakupy na starym stole z drzewa kauri, wyjęła talerze i sztuce z kredensu wykonanego z tego samego gatunku drewna i zaczęła je ustawiać tak energicznie, że omal nie stłukła jednej z białoniebieskich filiżanek po babci. Kiedy kawa parzyła się w ekspresie, Jane obesła cały parter i otworzyła wszystkie okna, by wpuścić słońce i powietrze.

Dylan został na werandzie w cieniu drzew, trzymając na rękach najedzone dziecko. Słyszał skrzypienie bujanego fotela na starych deskach podłogi, śpiew ptaków wśród drzew i posapywanie maleństwa w jego ramionach. Wyczuwał subtelny zapach niebieskich kwiatów zwisających z pnącza nad jego głową i jedyny w swoim rodzaju zapach niemowlęcia.

Potrzebował tej chwili samotności.

Rozmyślał nad tym, jak przed niedługą chwilą spostrzegł Jane. Szła brukowaną ceglami ścieżką, niosąc torbę z zakupami, z której wystawała bagietka.

Podwinęła rękawy białej bluzki wsuniętej w dżinsy, zapewne drogie i markowe, sądząc po tym, jak doskonale opinały jej figurę. Nogawki spodni również były podwinęte, przez co widać było sandały na bosych stopach. Jane wyglądała tak, jakby wracała z plaży.

Nie tylko ubranie sprawiało, że wyglądała inaczej, ani nawet wiatr targający kosmyki włosów uwolnione ze splotów skomplikowanego warkocza.

Zmiana sięgała o wiele głębiej. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że Jane nie jest już obca, że zna ją od zawsze. Wydało mu się, że nie pierwszy raz siedzi na tej werandzie i patrzy na jej powrót. I że nie jest to ostatni raz.

Znajdował się w domu.

To dziwaczne wrażenie trwało tylko chwilę, ale pozostało w pamięci. Na szczęście łatwo mógł je zignorować. Przecież to kompletna niedorzeczność.

Jak może się tutaj czuć jak w domu, skoro dla niego dom oznacza coś innego? Co prawda prawie nie pamiętał matki, ponieważ był bardzo młody, gdy zniknęła, ale to, co zapamiętał, wryło mu się głęboko w sercu.

Na wspomnienie łagodnego głosu i uścisków matki instynktownie mocniej objął Sophie. Zapach domowego ciasta. Pewność, że mama zawsze będzie przy nim, kiedy obudzi się w nocy albo wróci ze szkoły, kiedy zachoruje albo obetrze kolano, spadając z roweru. Jej pochwały były jak nagroda, a jej dotyk uzdrawiał. Jej śmiech i piosenki były niczym muzyka, które czasami nadal zdarzało mu się słyszeć, niczym szept wróżki.

Przycisnął lekko usta do miękkiej czupryny na główce Sophie. Takiej właśnie matki pragnął dla tego cudownego maleństwa.

Przypomniawszy sobie, że dotyk Jane również uzdrawiał. Nie miał wątpliwości, że bardzo dba o swoich małych pacjentów. Tak bardzo, że postanowiła poświęcić życie dla ich dobra. Jednak to nie to samo. Ten związek jest jakiś... pusty? Odległy?

Tak. O to chodzi. O brak emocjonalnej więzi. Miłości całkowicie bezinteresownej i czystej, ważniejszej od samego życia. Miłości matczynej.

Elegancka doktor Walters, posiadaczka prestiżowego sportowego samochodu i apartamentu tak sterylne, że mógłby służyć za salę operacyjną, była daleka od tego ideału. Chyba trudno o gorszą kandydatkę. Czy oszukiwał

samego siebie, że po upływie odpowiedniego czasu Jane odczuje związek ze swoim biologicznym dzieckiem? Czyżby liczył na cud?

Z westchnieniem wstał z fotela.

Przygotował posłanie dla Sophie na kanapie w pokoju dziennym, oddzielonym od kuchni łukowato sklepionym przejściem. Widział w niej Jane krzątającą się przy blacie. Przykucnął, by sprawdzić, czy dziecko jest wystarczająco zabezpieczone barierą z poduszek. Dziewczynka leżała na boku, otulona kocykiem, przyciskając piąstkę do nosa. Dylan delikatnie odsunął jej rękę.

Kiedy się wyprostował, miał na twarzy uśmiech. Jego wzrok natrafił na półkę z książkami i twarz mu spoważniała. Znow doznał dziwnego uczucia, że już tu kiedyś był. Powtarzał sobie w myślach, że sprawiły to książki. Takie same miała jego mama. „Ania z Zielonego Wzgórza”, „Małe kobietki”, „Heidi”. Klasyczne powieści, obecne w niejednym domu.

A może przyczyniły się do tego również fotografie ustawione na półce, na kominku i na pianinie w rogu. Fotografie ludzi. Rodziny.

Wiele osób na tych zdjęciach miało na sobie togi absolwentów wyższych uczelni. Niektóre przedstawiały ludzi w bardziej nieformalnych sytuacjach niż rozdanie dyplomów. Na przykład ta, na której kobieta trzyma na rękach dziecko. Dylan podszedł bliżej do pianina i podniósł fotografię w srebrnej ramce.

Dziecko było starsze niż Sophie. Liczyło sobie może dziewięć albo dziesięć miesięcy. Miało duże okrągłe oczy i piękny uśmiech, ale uwagę Dylana przyciągnął nosek dziecka. Malutki dziecięcy nosek z dołeczkiem u podstawy. Niemal biegiem wpadł do kuchni.

– Czy to ty? – zapytał.

Jane otworzyła szeroko oczy. Przez długą chwilę wpatrywała się w Dylana, a potem opuściła wzrok na zdjęcie, które trzymał w ręce.

- Tak – odrzekła, podnosząc głowę.
- Twój nos! – Dylan nie mógł opanować radosnego uśmiechu.
- Coś nie tak z moim nosem?
- Ależ nie. Masz bardzo ładny nos.

Jane odstąpiła krok do tyłu. Potrząsnęła głową z niedowierzaniem i z drewnianego stojaka wyjęła ząbkowany nóż do krojenia chleba.

– Chodzi mi o ten dołeczek – cierpliwie tłumaczył Dylan. – Sophie ma identyczny. Ona ma twój nos, Jane.

Spojrzała jeszcze raz na zdjęcie.

– To normalny dziecięcy nos – orzekła niedbale. – Wszystkie dzieci mają takie dołeczki.

Dylan opuścił rękę z fotografią i patrzył, jak Jane wprawnie kroi chleb. Wiedział, że nie miała racji, ale przeciwstawienie się jej doprowadziłoby do niepotrzebnej wymiany zdań. A sądząc po tym, z jakim zacięciem kroi chleb, nie należy do osób, które lubią przegrywać spory. Zresztą może Jane się nie myli. Ma większe doświadczenie z dziećmi niż on.

Najlepiej będzie zmienić temat.

– Lunch wygląda niezwykle smakowicie.

– Mają tu bardzo dobre jedzenie – zgodziła się Jane, układając kromki chleba w koszyku wyłożonym serwetą w niebiesko-białą kratkę. – Niektóre restauracje oferują dania na wynos. Możemy zamówić coś na kolację.

A więc nie zapowiada się na domowe gotowanie. Dylan położył fotografię na kredensie, w którym stał stary serwis z niebiesko-białej porcelany.

– Usiądź – poleciła Jane. – Lunch jest już gotowy.

Jej głos trudno było nazwać łagodnym, stwierdził w duchu Dylan, siadając za stołem. Brzmiał czysto i energicznie. Pasował do kogoś na stanowisku kierowniczym. Może do nauczycielki albo menedżera dużej firmy. Zupełnie nie kojarzył się z matką. A jeśli chodzi o uściski i pieszczoty...

Mimowolnie spojrział na Jane, która akurat sadowiła się przy stole. Biała bluzka była rozpięta na tyle głęboko, że odsłaniała lekką wypukłość piersi. Już wcześniej zauważył, że Jane ma bardzo zgrabną pupę. Rozplotła warkocz i włosy okryły jej ramiona.

Dylan wziął głęboki oddech. Nie, nie można jej nazwać łagodną i ciepłą. Ale jest... seksowna!

Jeszcze raz głęboko wciągnął powietrze.

- Nic ci nie jest? – Popatrzyła na niego zdziwiona.
- Wszystko w porządku.
- Nie masz czasem astmy czy czegoś w tym rodzaju?
- Nie. Dlaczego pytasz?
- Tak ciężko oddychałeś.
- Jestem zdrowy jak koń. I głodny jak wilk.

Jane patrzyła, jak Dylan je. Układał plastry szynki, sera i pomidorów na kromkach chleba i zjadał je z wyraźnym apetytem. Przyjemnie było na to patrzeć.

Niepokojąco przyjemnie. Powinna na niego patrzeć jak na intruza, który zasiadł przy jej stole. Ten dom jest jej kryjówką, miejscem jedynym w swoim rodzaju. Tylko tutaj niezawodnie odzyskiwała spokój, chociaż nie mogła zbyt często tu bywać. W dodatku nie zaprosiła go tutaj z własnej nieprzymuszonej woli. Miała wrażenie, że to był pomysł Dylana.

Może nie traktowała jego obecności jak wrogiego najazdu ze względu na jego reakcje. Najwyraźniej to miejsce rzucało na niego coraz silniejszy urok.

Zaczynał się w nim zakochiwać. Obcy człowiek, który przedtem nie miał żadnego związku z jej życiem.

Po lunchu Jane uporządkowała kuchnię, a Dylan wytarł naczynia. Obchodził się z porcelaną babci z takim pietyzmem, na jaki zasługiwała. Wytarł stół, kiedy Jane chowała resztki jedzenia do lodówki. Kątem oka widziała, jak gładził palcami jego zniszczony blat. Jakby w ten sposób mógł poznać jego historię, zobaczyć wszystkie te okazje, kiedy podawano na nim jedzenie i spożywano je wśród śmiechów i żartów. Potem poszli na górę obejrzeć dwie sypialnie.

– To jest mój pokój – powiedziała Jane. – Ty i Sophie będziecie spali tutaj.

Druga sypialnia znajdowała się naprzeciw jej pokoju, oddzielona tylko wąskim korytarzem. Na tyle blisko, że myśl o spędzonej tu nocy wywołała rumieniec na policzkach Jane.

– To znaczy, jeśli ci to odpowiada – dodała.

– Czy odpowiada? – Dylan musiał schylić głowę, by przejść przez drzwi. Spojrzał na stare mosiężne łóżko przykryte babciną narzutą, zszytą z kawałków kolorowych szmatek. Potem jego wzrok spoczął na toalecie z emaliowaną miską i dzbankiem.

Jane stała przy niewielkim oknie, pod którym znajdowała się niewielka ławeczka, a za nim rozciągał się widok na zarośnięty ogród. Kiedy podniosło się wzrok, widziało się morze i molo ze staroświeckim pawilonem na końcu oraz latarnię morską po drugiej stronie zatoki.

Gdy Dylan odwrócił głowę, zobaczyła, że na jego twarzy wykwiła uśmiech. Nie tylko go widziała, ale i czuła. Wypełniał ją dziwnym ciepłem i dotykał serca.

– Odpowiada to nie jest adekwatne słowo – zauważył. – Słonko, to miejsce jest po prostu idealne. Jak z bajki.

Słonko. Słyszała, jak w ten sposób mówił do Sophie. Nie powinien tak się do niej zwracać. A już na pewno jej nie powinno to sprawiać takiej przyjemności. I nie sprawiało. Po prostu czuła radość, że Dylan docenia piękny widok z okna.

Oschle skinęła głową. Musi się opanować. Jeśli zacznie jej się podobać towarzystwo tego człowieka, znajdzie się w niebezpieczeństwie. Może to błąd, że go tutaj przywiozła. Wydawało jej się, że to będzie dobre wyjście z beznadziejnej sytuacji. Jak odroczenie wyroku. I owszem, przyszło jej do głowy, że dom spodoba się komuś o cygańskiej naturze.

Nie tylko zdała sobie sprawę, że to miejsce odpowiada Dylanowi. Przez krótką szaloną chwilę czuła, że to jest jego prawdziwy dom.

– Może ci tu być trochę ciasno – zauważyła. – Zwłaszcza kiedy wstawi się łóżeczko i inne sprzęty.

– Pokój jest idealny – powtórzył z przekonaniem. –Bardzo dziękuję, że nas tu przywiozłaś.

Uśmiechnął się do niej tak, że zaparło jej dech w piersi. Z wysiłkiem nabrała powietrza.

– Duszno tu trochę, prawda? – Pociągnęła za mosiężne uchwyty dolnej części przesuwanego okna, ale się nie poruszyły. Chwyciła więc za drewnianą ramę, ale okno nadal się jej opierało.

– Pozwól. – Ręka Dylana otarła się o jej dłoń, kiedy sięgnął do uchwyty. Okno zaskrzypiało na znak protestu, ale uniosło się o kilkanaście centymetrów.

– Dawno nie było otwierane. – Jane opuściła rękę. Dłonie zacisnęła w pięści. Kiedy Dylan jej dotknął, poczuła dreszcz.

– To się da łatwo naprawić. – Zerknął na jej dłonie. – Nie zraniłaś się czasem?

– Nie.

Ale było już za późno. Dylan ujął jej dłoń i przyjrzał jej się uważnie. Cofnij rękę, nakazywała sobie Jane w myślach. Odsuń się. Nie jest dobrze. Jakby w odpowiedzi na jej niespokojne myśli, z dołu dobiegło ją zawodzenie niemowlęcia. Jane wyrwała dłoń.

– Nic mi się nie stało. I chyba ktoś cię wzywa. Powiedziała sobie, że najbezpieczniej będzie czymś

się zająć. Ta strategia już raz poskutkowała, kiedy skupiła się na przygotowaniu lunchu, a więc teraz też się sprawdzi. Przewietrzyła pościel, uporządkowała pokoje, wytarła kurze, trzymając się w pewnej odległości od Dylana, który w tym samym czasie przewinął i nakarmił dziecko, zmontował łóżeczko, rozpakował i ułożył wszystkie zakupione rano rzeczy.

Jane odkurzała właśnie fotografie na pianinie, kiedy rozłożył kolorową miękką matę edukacyjną na podłodze salonu. W górnej części miała półkolistą obęcz, z której zwisały miękkie pluszowe zwierzątka z nogami w kształcie pomponików, zawieszonych na sznureczkach. Ułożył Sophie na macie, by podnosząc wzrok, zobaczyła kolorowe zabawki. Jane musiała się uśmiechnąć, kiedy usłyszała pełne radości gaworzenie i zobaczyła, jak małe rączki starają się dosięgnąć zwierzątek.

Dylan ułożył się na plecach tuż obok dziecka i również spojrzał do góry, by widzieć to, co dziewczynka.

Jane usłyszała, jak szepcze:

– To jest lew. Widzisz, słoneczko? A tu małpka. A ten to Heffalump.

Heffalump? Dobry Boże! Nie słyszała, żeby ktoś tak nazywał słonia, od czasów, kiedy... kiedy siadywała na kolanach babci, a ta czytała jej książeczki.

Niespodziewane łzy zakłuły ją pod powiekami. Skupiła się na tym, by je powstrzymać, więc nawet nie zauważyła, że przewróciła jedno ze zdjęć.

– Wychodzę do ogrodu – oznajmiła. – Jest jeszcze jasno, więc sprawdzę, jakie prace trzeba tam wykonać.

Dylan wsparł się na łokciu.

– Ja mógłbym to zrobić – zaproponował.

– Jesteś zajęty.

– Hm. Skoro już tu jestem, mogę się zająć ogrodem. Będę miał mnóstwo czasu.

Jane zaintrygowało, ile to jest „mnóstwo”. Jak długo on zamierza tu zostać? Wystarczająco długo, by nawykła do jego obecności? I zapragnęła, żeby został?

Potrząsnęła głową.

– To jest ogromna praca. Ogród tak zarósł, że nawet nie widać altanki za drzewami owocowymi. Muszę kogoś zatrudnić do wykonania najcięższych robót.

– Nie masz narzędzi? Sekatora, szpadla i tak dalej?

– Mam. Leżą w szopie na narzędzia. Ale...

– Żadnych ale. – Dylan podniósł się z podłogi. – Przyjechałem tutaj, żebyś poznała swoją córkę – oznajmił bez wstępów. – Nie zamierzam szybko zniknąć. Wszyscy potrzebujemy czasu, żeby się lepiej poznać, a miejsce, która nam udostępniłaś, idealnie się do tego nadaje. Nie przypuszczam, żebyś zamierzała pobierać ode mnie opłatę za mieszkanie w tym domu?

– Oczywiście, że nie! – Sam pomysł wydał się jej obraźliwy.

– No właśnie. A ja nie przyjmuję jałmużny. – Sposób, w jaki trzymał głowę, i wyzywające spojrzenie nie pozostawiały wątpliwości, że ceni sobie godność. – Zapłacę na swój sposób – ciągnął. – Naprawię różne rzeczy, na

przykład to okno na górze. I furtkę. No i uporządkuję ogród. Zrobię to z przyjemnością – dodał już łagodniej. – A nawet uznam to za zaszczyt.

Miał tak ciemne oczy, że odczytanie ich wyrazu powinno być niemal niemożliwe, ale Jane zauważyła w nich szczerą. I... niemą prośbę? Czyżby ją prosił, by mu pozwoliła wykazać swoją użyteczność? Chciał się stać częścią jej życia? Poczuć, że jest na swoim miejscu?

Wyczuła niebezpieczeństwo.

Ale przecież to jest takie praktyczne rozwiązanie. Chyba stała się zbyt podejrzliwa i reaguje z przesadą. On potrzebuje miejsca, gdzie mógłby się zatrzymać na jakiś czas. Ona musi uporządkować ogród. Oboje, a zwłaszcza ona, odniosą korzyść z takiego rozwiązania.

Umieszczenie Dylana i Sophie w Akaroi usunie ich całkowicie z codziennego życia Jane. Z życia, do którego zamierzała wrócić jutro.

– To brzmi rozsądnie – odezwała się w końcu. – Jeśli tylko rzeczywiście tego chcesz.

– Chcę.

– Jeśli zmienisz zdanie, nie będzie z tym kłopotu. Zawsze mogę kogoś zatrudnić, żeby dokończył pracę.

Nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Musiała wyjść na dwór i zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Zawsze kończę to, co zacząłem – powiedział cicho. – Zostanę tu tak długo, jak będzie trzeba.

Nic dodać, nic ująć. Jane mogła tylko skinąć głową i wrócić do swojej pracy. Podniosła przewrócone zdjęcie. Czy to przypadek, że była to ta fotografia, którą wcześniej Dylan przyniósł do kuchni? Spojrzała na dziewczynkę uwiecznioną na zdjęciu. Na jej mały nosek.

Mimowolnie uniosła dłoń i dotknęła swojego nosa. Namacała dołeczek, którego nigdy nie lubiła.

Nie miała jednak zamiaru porównywać dziewczynki z fotografii z niemowlęciem leżącym na kolorowej macie. Pewnym krokiem poszła do kuchni, by zrobić listę rzeczy potrzebnych na kolację.

Nie chciała dopatrzeć się podobieństwa. Nie chciała doszukiwać się żadnych wspólnych cech.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mrok spowił stary dom, odcinając go od reszty świata i sprawiając, że atmosfera wewnątrz stała się intymna.

Jane sprzątnęła ze stołu, a Dylan tymczasem przygotował kąpiel Sophie. Posiłek, który właśnie skończyli, zachwyił oboje. Z lokalnej francuskiej restauracji zamówili wołowinę po burgundzku z zapiekаныmi ziemniakami. Jane zrobiła sałatę i podała do tego świeżą ciabatę z włoskiej piekarni. Czerwone wino doskonale dopełniało ucztę. A może najważniejsze były świece, które ustawiła na stole?

Nieważne. Doskonałe jedzenie, wino i światło świec, w którym połyskiwały stare srebra i kryształy, ciepło bijące z kominka i łagodne dźwięki ulubionej muzyki – wszystko to sprawiło, że Jane musiała uznać ten posiłek za najprzyjemniejszy od niepamiętnych czasów.

Dylan był zaskoczony muzyką.

– Winyłowe płyty! – zawołał. – Kto jeszcze trzyma adapter w domu! To miejsce jest naprawdę niezwykle. Jakbym się znalazł w pętli czasu.

– Babcia kochała muzykę – odrzekła Jane, jakby chciała się wytłumaczyć. – Kupiła najlepsze możliwe stereo, więc nadal jest całkiem sprawne. Nigdy nie czułam potrzeby, żeby je zmienić na nowoczesny sprzęt.

Dylan przeglądał stos płyt.

– Prawdziwy skarb – stwierdził z uśmiechem. – Znalazłem Simona i Garfunkela. O, Cat Stevens. Dobry Boże! The Seekers?

– Co w tym złego? Grali wspaniałą muzykę.

Dylan położył płytę na talerzu adaptera i powoli opuścił igłę. Potem spojrzał na Jane i coś w jego uśmiechu sprawiło, że nagle poczuła skurcz w gardle.

Okazało się, że Dylan zna wszystkie ich piosenki. Sophie spała spokojnie w wiklinowym koszu, a oni, jedząc, rozmawiali o muzyce. Dylan uczył się grać na gitarze na ich muzyce i na zawsze wryła mu się w duszę.

Gdy zaczęli rozmawiać o książkach, stwierdzili, że kochają tych samych pisarzy. Gdy rozmowa zeszała na film, wyszło na jaw, że mają bardzo podobne gusty. Jane poczuła się trochę dziwnie.

Zmywając i wycierając naczynia, starała się przeanalizować swoje reakcje. Jak to możliwe, by tyle wspólnych upodobań łączyło ją z kimś takim jak Dylan, który w niczym nie przypominał mężczyzn dotychczas budzących jej zainteresowanie? Chociaż każdy z jej związków kończył się fiaskiem, Jane nadal miała jasne wymagania co do potencjalnego partnera. Musiał być dobrze wykształconym profesjonalistą, co najmniej równym jej w medycznej hierarchii. Dylan nie sięgał nawet pierwszego stopnia tej drabiny zawodowej.

Musiał to być ktoś, kto by zrozumiał i podzielał jej oddanie pracy. A Dylan jest wolnym duchem. Może znaleźć pracę wszędzie, gdzie akurat się zatrzymał, a potem ruszyć dalej w świat. W ten sposób nie robi się kariery. Jej idealny mężczyzna powinien też być bystry i inteligentny, żeby dało się z nim prowadzić dyskusje o ważnych sprawach. Z Dylanem podczas kolacji nie rozmawiali o żadnych ważnych sprawach. Nie zamienili ani słowa o medycynie, polityce ani nawet o bieżących wydarzeniach. Rozmawiali o rozrywce, o upodobaniach dotyczących lekkiej literatury i muzyki.

Dlaczego więc tak dobrze jej się z nim rozmawiało? Dlaczego ożywiona konwersacja zostawiła jej tak miłe wspomnienia, że już chciała więcej? Dziwne.

Jane ustawiła ostatni talerz w kredensie, a potem zdmuchnęła świece. Wzięła kieliszek z resztką wina i przeszła do pokoju, by dołożyć kolejny kawałek drewna do kominka i zmienić płytę. Była sobota, nazajutrz nie

musiała iść do pracy ani nigdzie jechać, więc postanowiła nalać sobie jeszcze wina. Kiedy wróciła do kuchni po butelkę, zobaczyła, że Dylan ustawił plastikową wanienkę na ręczniku rozłożonym na starym stole, a teraz z pomocą dzbanka napełnia ją ciepłą wodą z kranu.

Nie wiedziała, jak to się stało, ale została w kuchni. Oparła się o blat i sącząc wino, patrzyła, jak Dylan kąpie Sophie. Był bosy, ubrany tylko w dżinsy i koszulkę. Widać było, że jest silny. Łatwo mogła sobie wyobrazić, jak przekopuje twardą ziemię, wyrywa niepotrzebny krzak. Jednak teraz te ręce delikatnie podtrzymywały w ciepłej wodzie drobne, kruche niemowlę, namydlały miękką czuprynkę i spłukiwały pianę wodą. Patrzyła na jego ruchy jak urzeczona. Jego dotyk zdawał się wprawiać w trans również Sophie. Dziecko leżało spokojnie, od czasu do czasu wierzgając nóżkami lub wymachując rękami. Patrzyło w skupieniu na jego usta, wypowiadające jakieś pieszczotliwe, pozbawione większego sensu zdania. Może uśmiech Dylana miał taki sam wpływ na Sophie jak na Jane? Może i ona czuła się wtedy wyjątkowa?

Kochana.

Jane wzięła kieliszek, wróciła do pokoju i zwinęła się w rogu kanapy przed kominkiem. Postanowiła słuchać muzyki, a nie głosu Dylana. Chciała uciec od tej dziwnej siły, która ciągnęła ją tam, gdzie wcale nie chciała iść.

– Czas spać, maleńka.

Dylan wstał z krzesła, na którym karmił Sophie ostatnią tego dnia butelką mleka. Potem przytulił dziecko do piersi i zaczął spacerować w kółko, podśpiewując pod nosem w takt muzyki folk płynącej ze starego adaptera, który tak go zadziwił. Niewielkie rozmiary kuchni sprawiały, że Dylan podczas swojego monotonnego spaceru co jakiś czas, mijając łukowate przejście, zbliżał się do salonu. Jane siedziała na kanapie z podwiniętymi pod siebie

nogami. W ręce trzymała kieliszek z winem i z wyraźnym rozmarzeniem patrzyła, jak płomień ognia liżą świeżo dołożone polano.

Nucił pod nosem z coraz większym zadowoleniem. Pogratulował sobie w duchu właściwego wyboru metody postępowania. Dobrze zrobił, nie nakłaniając dziś Jane do pomocy przy Sophie. Na razie wystarczy, że są tu wszyscy razem, a Jane wydaje się akceptować obecność nowej osoby w swoim życiu. Właściwie w tej chwili wyglądała na szczęśliwą.

Przy kolejnym okrążeniu doszedł do wniosku, że jest całkowicie rozluźniona i spokojna. Zupełnie nie przypominała kobiety, którą wczoraj poznał w szpitalnej izbie przyjęć. Nie chodzi tylko o to, że siedziała jak młoda dziewczyna, a nie szacowna konsultantka. Zobaczył ją dziś z zupełnie innej strony. Kto by pomyślał, że mają ze sobą tyle wspólnego? Że oboje czerpią przyjemność z tych samych książek, muzyki, potraw i wina? Doktor Jekyll i panna Hyde.

Dylan uśmiechnął się lekko. To być może zbyt daleko idący wniosek, ale chyba odkrył w niej dwie całkiem różne osoby. Jedna z nich miała potencjał, by zostać matką Sophie. Tylko która z nich jest prawdziwą Jane?

Sophie w końcu zasnęła. Ostrożnie zaniósł ją na górę i ułożył w łóżeczku. Nie zdając sobie sprawy, że jego czoło przecina pełna determinacji zmarszczka, wrócił do kuchni, nalał sobie kolejny kieliszek wina, a potem dołączył do Jane na kanapie.

– Już zasnęła?

– Tak. – Zirytował go nieco ton ulgi w głosie Jane, sugerujący, że wreszcie pozbyła się kłopotu.

Musiał sobie przypomnieć, że ta kobieta ma swoją lepszą stronę i właśnie tę stronę warto w niej wspierać.

– Fajnie tu – stwierdził, sadowiac się na kanapie i wyciągając nogi w stronę kominka.

– Aha.

– Wszystko w tym domu jest cudowne – ciągnął. Uśmiechnął się do niej przelotnie. – Tak różne od...

Słyszac jego wahanie, ruszyła do ataku.

– ...od mojego apartamentu?

Ostry ton jej głosu zmroził Dylana. Ale jeśli nie będzie szczery i otwarty, jego przyjazd tutaj straci sens.

– Tak – odrzekł wprost.

Jane milczała, potem z wolna skinęła głową.

– Owszem, jest różne – zgodziła się.

– Ale kochasz to miejsce, prawda?

– Tak.

– Bo to prawdziwy dom?

– Kiedyś był. – Trudno było odczytać wyraz jej oczu. Ton głosu również niewiele zdradzał.

– Mieszkałaś tu kiedyś?

– Tylko przyjeżdżałam na wakacje.

– A rzeczywiście. Mówiłaś, że wychowywała cię niania. I że uczyłaś się w szkołach z internatem. – Jakże inne dzieciństwo od jego własnego. Trudno mu było znaleźć w nim jakikolwiek pozytywny aspekt. – Ile miałaś lat, kiedy cię wysłano do takiej szkoły?

– Pięć.

To wyznanie nim wstrząsnęło.

– Nie było tak źle – stwierdziła Jane. – Odebrałam najlepsze wykształcenie i zawsze się cieszyłam na wakacje z babcią. Uwielbiałam tu przyjeżdżać.

– A jak często przyjeżdżasz teraz?

– Niezbyt często. – Westchnęła. – A może za często. Znów wpatrzyła się w ogień. Dylan tymczasem patrzył na nią.

– To dziwne stwierdzenie – odezwał się w końcu. – Dlaczego nie chcesz tu spędzać jak najwięcej czasu, skoro tak kochasz ten dom?

Jane zagryzła wargę, wyraźnie wahając się, co powiedzieć. Podniosła wzrok i napotkała jego uważne spojrzenie. Przez sekundę wydawało mu się, że zagłębia mu w głąb duszy. Nie odwrócił spojrzenia, ale też nie poruszył się. Czuł się tak, jakby napotkał w lesie przestraszoną sarnę. Musiał trwać w kompletnym bezruchu, by się nie spłoszyła i nie uciekła. Bo przecież chciał, żeby została dłużej. Choć nie wiedział, czego szukała w jego spojrzeniu, najwyraźniej to znalazła, ponieważ odezwała się cichym głosem:

– Jak zauważyłeś, tutaj jest zupełnie inaczej. I to nie pasuje do tego, co robię ani do tego, kim jestem.

Poczuł rozczarowanie niczym gorzki posmak wina. Prawdziwa Jane nie jest osobą, którą wybrałby na matkę dla Sophie. Ale czy rzeczywiście?

– Jesteś pewna? – zapytał. – Tutaj jesteś zupełnie inna. Instykt rzadko mnie zawodzi, a teraz mówi mi, że kobieta, którą właśnie widzę, to prawdziwa ty.

Zawsze warto mieć nadzieję, prawda? Jane jednak potrząsnęła głową.

– Przyznaję, że jakaś część mnie dochodzi tu do głosu. Każdy musi raz na jakiś czas się rozluźnić, dać sobie trochę swobody. – Roześmiała się i przeczesła palcami włosy, w których odbijały się świetlne refleksy ognia.

Jakaż ona jest piękna. Odległa, ale piękna.

– Tutaj czuję zadowolenie – ciągnęła Jane tak cicho, jakby mówiła do siebie. – A zadowolenie przypomina czekoladę. Nie szkodzi, o ile nie ma się go za dużo naraz.

– Wydzielasz sobie zadowolenie? – spytał Dylan z niedowierzaniem.

– Jak jest go za dużo, człowiek staje się gruby i leniwy – oznajmiła. – I dlaczego sugerujesz, że zadowolenie to to samo co szczęście? A może szczęście to powodzenie? Sukces? Dążenie do bycia najlepszym w tym, co się postanowiło zrobić w życiu?

Ze zmarszczonym czołem zastanawiał się nad jej słowami. I nad tonem, którego użyła. Czy Jane należy do ludzi wyznających zasadę „wszystko albo nic”? Jeśli tak, to czy w ogóle uda mu się ją przekonać, że Sophie mogłaby stać się częścią jej życia?

– Ile czasu poświęcali ci rodzice? – zapytał. – Słyszałem już, że uczyłaś się w szkołach z internatem, że wychowywała cię niania i że rodzice bywali nieobecni w różnych ważnych dla ciebie chwilach, a nawet w dniach urodzin. Jak często byli przy tobie?

– Niezbyt często. – Między jej brwiami pojawiła się pionowa bruzda. – A kiedy już przy mnie byli, zawsze coś ich odwoływało. Nauczyłam się czekać, kiedy pojawi się jakaś ważna sprawa. I zawsze coś się pojawiała. Telefon. Wezwanie do szpitala. Daleka podróż.

Dylan przytrzymał jej spojrzenie. W oczach Jane zobaczył cień samotnego dziecka, które przekonało się, że nie należy ufać zadowoleniu. Nauczyło się, że nie można mu ufać, trzeba je dawkować i kontrolować.

Jakież to jest smutne. Miał ochotę wziąć dorosłą Jane w ramiona, by pocieszyć ukryte w niej dziecko. Jednak jej dalsze słowa sprawiły, że stracił tę ochotę.

– Właśnie dlatego nie będę nawet próbować być dla Sophie rodzicem – oznajmiła. – Dokonałam wyboru dawno temu. Postawiłam na karierę.

Zawisła między nimi ciężka cisza.

– Przykro mi – dodała Jane, lecz w jej głosie wcale nie było słychać skruchy. – Źle mi z tym, że nie jestem w stanie wziąć odpowiedzialności za Sophie, ale nic nie poradzę.

Nie mówiła już cicho i łagodnie. Dylan z łatwością sobie wyobraził, jak przemawia w ten sposób do swoich podwładnych. „Przykro mi, że musisz zostać dłużej w pracy, ale tego pacjenta trzeba powtórnie operować. Nic na to nie poradzę”.

Nie odezwał się. Obawiał się, że jego rozczarowanie przybierze postać gniewu.

– Oczywiście będę pomagać finansowo – ciągnęła z ożywieniem. – Z tym nie będzie żadnego problemu. Nie będziesz musiał pracować. Miarka się przebrała.

– A nie przyszło ci do głowy, że ja chcę pracować? – odwarknął. – Może moja praca jest dla mnie równie ważna, jak twoja dla ciebie?

Tego nie oczekiwała.

– Zaskoczona, co? – Dylan nie starał się nawet ukryć odrazy. – Jestem tylko pielęgniarzem i śmiem sobie wyobrażać, że moja praca jest równie ważna, jak twoja.

Jane otrząsnęła się ze zdumienia.

– Ani mi się waży robić z tej kwestii rozgrywkę osobistą. Najwyraźniej masz jakiś problem ze swoim zawodem, coś w rodzaju snobizmu na opak. Rozmawiamy o Sophie i o tym, co jest dla niej najlepsze.

– Właśnie. A ponieważ, jak widać, praca jest bardzo ważna dla nas obojga, to może oddamy małą do adopcji?

Drgnęła, jakby ją uderzył.

– Nie możesz tego zrobić!

– Dlaczego nie?

– Jest twoją bratanicą.

– A twoją córką – odparował.

Znów zapadła cisza. Jane nie mogła uwierzyć, że Dylan rzeczywiście to powiedział.

Oddać Sophie do adopcji?

Nigdy więcej jej – ani Dylana – nie zobaczyć?

Powtórzyła sobie w myślach, że przecież ma pieniądze. Dzięki dobrej pracy i kilku spadkom miała ich więcej, niż kiedykolwiek będzie potrzebować dla siebie samej. Mogłaby zapewnić Dylanowi i Sophie bardzo wygodne życie. Mogłoby pozostać w kontakcie i czasami się odwiedzać. Zostałaby kimś w rodzaju dobrej cioci. Ten plan zaczął przybierać kształty, kiedy słuchała, jak Dylan nuci w kuchni, usypiając dziecko. Uformował się ostatecznie, gdy wyznał, jak bardzo mu się tu podoba.

Pomyślała sobie nawet, że mógłby mieszkać tutaj. W jej domu. Razem z Sophie. Wystarczająco daleko, a zarazem wystarczająco blisko.

Ale środki finansowe nie wystarczą, by rozwiązać ten dylemat. Dylan chciał od niej czegoś zupełnie innego.

Czegoś, czego nie mogła mu dać.

– Nie decydowałam się na dziecko. – Głos jej drżał. – To Izzy podjęła decyzję. A Izzy nie żyje... – Wargi zaczęły jej drżeć. Płacz był tylko kwestią czasu.

– No tak. – Złość wyparowała z głosu Dylana. – Tak mi przykro, że straciłaś przyjaciółkę.

– Izzy była dla mnie kimś więcej. Była mi jak... siostra.

– Jak rodzina. Wiem. – Oczy Dylana błyszcząły bardziej niż zwykle. Ale to chyba nie mogą być łzy? – Straciłem brata – dodał nieco ochryple, a Jane poczuła, że coś w niej pęka. – A kochałem ich oboje.

– Ja... też – szepnęła i wybuchnęła płaczem.

Jej żal był tak rozdzierający, że Jane nawet nie zauważyła, kiedy Dylan wziął ją w ramiona. Szloch wstrząsał jej całym ciałem. Gdyby była sama, skuliłaby się w ciasny kłębek, objęłaby ramionami kolana i próbowała stłumić uczucie, że coś rozrywa ją na kawałki.

Nie musiała jednak tego robić, ponieważ obejmowały ją ramiona mocniejsze niż jej własne.

Obejmowały i kołysały.

Kiedy wreszcie opanowała szloch i odsunęła się na tyle, by spojrzeć na Dylana, zobaczyła, że jego twarz również jest mokra od łez. Płakał, a ona nawet tego nie zauważyła. Rozpaczał równie mocno, jak ona. Może nawet bardziej, a tymczasem ona przyjęła jego pocieszenie, nie oferując mu w zamian wsparcia.

Przez chwilę nienawidziła samej siebie. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak nieszczęśliwa. Bez namysłu wyciągnęła rękę i otarła łzy z twarzy Dylana.

– Tak mi przykro – powiedziała. – Tak bardzo przykro.

Uśmiechnął się do niej, pochylił głowę i pocałował ją. Czule. Pocieszająco. W czoło. A potem, kiedy zdziwiona uniosła ku niemu twarz, znów ją pocałował. W usta.

Ten delikatny dotyk przypieczętował więź między nimi, utworzoną przez wspólny żal i cierpienie.

– Wszystko w porządku, słonko – wyszeptał. – Tkwimy w tym oboje i razem damy sobie radę. Coś wymyślimy, obiecuję.

– Ale... nie oddasz Sophie do adopcji?

– My. Nie oddamy jej. – Poruszył się lekko, dzięki czemu zauważyła, że wciąż się do niego przytula. Zawstydzona usiadła prosto.

– Dziękuję – powiedział Dylan niezrażony.

Zdziwiło ją to. Co takiego zrobiła oprócz tego, że nie chciała być taka, jak on sobie wymyślił?

– Za co? – spytała.

– Za to, że jesteś jaka jesteś.

O co mu chodziło? Jane rozmyślała nad tym jakiś czas później, idąc po schodach do sypialni. Przedtem długo jeszcze wspominali Izzy i Josha, pijąc wino, na przemian śmiejąc się i płacząc.

Uważał, że Jane w tym domu staje się zupełnie inną osobą. Twierdził, że coś, co ona zawsze postrzegała jako słabość, jest ważniejszą częścią jej osobowości niż to, co całe życie starała się osiągnąć.

Powinno ją to obrazić. Powinna czuć rozczarowanie, że została źle zrozumiana i złość, że Dylan nie słucha, co do niego mówi. Ale wcale tak nie było.

Czuła zmęczenie. Jej życie nagle stanęło na głowie, zagościł w nim zamęt i cierpienie. Jednak po przejściu wszystkich tych burzliwych uczuć, doznała dziwnego poczucia spokoju. A wspomnienie czułego pocałunku pozostało z nią niczym emocjonalny talizman.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wspomnienie tego pocałunku nie chciało odejść. Nie znaczy to, że Jane przywiązywała nadmierną wagę do tego gestu pocieszenia. Nawet o nim nie myślała, ale i tak trwał cały czas gdzieś w jej pamięci. Jakby wrył się w ciało na poziomie komórkowym i dokonał mikroskopijnej, ale permanentnej zmiany w ustroju.

Zmiana w Jane objawiała się tym, że do głowy przychodziły jej myśli całkiem do niej niepodobne. Na przykład teraz, kiedy była w trakcie operacji naprawiania rozszczepionej wargi i podniebienia u noworodka.

Rozmyślała o tym, że o ile oczy są zwierciadłem duszy, to usta zajmują miejsce tuż po nich, jeśli chodzi o ujawnianie cech osobowości. Robią to zwłaszcza, kiedy dotykają ust drugiej osoby.

Ta mała dziewczynka kiedyś zapragnie kogoś pocałować, więc Jane, jako jedna z zespołu specjalistów, robiła wszystko, by blizna była jak najmniej widoczna. W tej chwili razem z nią w operacji uczestniczył chirurg szczękowo-twarzowy. Zasięgnięto też rady stomatologa dziecięcego, specjalisty otorynolaryngologa, psychologa, specjalisty od spraw żywienia i logopedy.

Celem tej operacji było oddzielenie jamy ustnej od nosowej i odbudowanie podniebienia przez naciągnięcie tkanek z dwóch stron. Wkrótce miał do nich dołączyć chirurg plastyk, by zająć się wargami dziecka. W przyszłości być może konieczne będą kolejne zabiegi, ale dzisiejsza operacja zadecyduje o tym, jak będzie się rozwijała twarz dziecka, a zatem między innymi o tym, jak sobie będzie radziło w grupie rówieśników.

Oczywiście Jane i tak wykonałaby swoją pracę jak najlepiej, ale przypadkowa refleksja o tym, jak ważne są usta, kazała jej wyjątkowo

przyłożyć się do pracy. Operacja rozszczepu podniebienia była tylko jedną z zaplanowanych na ten dzień, na dodatek w jej specjalności należało się stale liczyć z tym, że harmonogram dzienny zostanie zakłócony przez nagłe przypadki. Dzieci często zapadają na niespodziewane choroby, a ich stan szybko się pogarsza.

Pierwsze wezwanie do izby przyjęć nadeszło, kiedy kończyła się operacja dziecka z rozszczepieniem podniebienia. Jane powierzyła Mike'owi nadzór nad przewiezieniem dziecka do sali pooperacyjnej.

Pediatrą, który wezwał ją na ostry dyżur, był Colin Johnston, stosunkowo nowy członek zespołu.

– Zespół ostrego brzucha u szesnastomiesięcznego Harry'ego Petersa – powiadomił Jane. – Zbadał go mój stażysta. Wykluczaliśmy infekcje w obrębie klatki piersiowej i infekcje dróg moczowych. Poziom białych krwinek w normie, wynik USG graniczny.

– Temperatura?

– Ma gorączkę. Trzydzieści osiem i cztery.

– Objawy?

– Ból okołopępkowy, gorączka, biegunka. Ból nie został dobrze zlokalizowany, ale to nic dziwnego.

– W tym wieku to normalne. – Jane weszła do pomieszczenia za kotarą i uśmiechnęła się do zdenerwowanych rodziców. Matka trzymała na rękach nieszczęśliwego, czerwonego od płaczu malucha. – Podano środki przeciwbólowe? – zapytała Colina. Pediatra skinął głową.

– Miareczkowane dawki morfiny po pół mililitra. Jest teraz dużo spokojniejszy niż na początku.

Jane przedstawiła się rodzicom.

– Nie będzie trzeba robić operacji, prawda? – zapytała matka drżącymi ustami.

– Jeśli to zapalenie wyrostka, to operacja będzie konieczna – wyjaśniła łagodnie Jane. – Nie chcielibyśmy dopuścić do pęknięcia wyrostka, bo wtedy Harry dostałby ogólnego zakażenia jamy brzusznej. – Poglądziła główkę dziecka, zarówno po to, by je uspokoić, jak i dotknąć skóry. – Cześć, Harry – rzekła łagodnie. – Biedaku, niezbyt dobrze się teraz czujesz, co?

– Nie wystarczy jakiś antybiotyk? – zapytał ojciec chłopca. – Żeby nie trzeba było go operować?

– Antybiotyk nie zadziałałby wystarczająco szybko, żeby zapobiec pęknięciu. – Jane szacowała wygląd swojego potencjalnego pacjenta. Był rozpalony i czerwony, ale nie zauważyła odwodnienia, a to dobry znak. Co ważniejsze, niemal przestał płakać. Jane uśmiechnęła się, widząc, że dziecko się jej przygląda. Śliczny maluch. Ale bez dołeczka u nasady nosa. Dlaczego z taką pewnością siebie stwierdziła, że to bardzo powszechna cecha u małych dzieci?

Ojciec Harry'ego wciąż nie był przekonany.

– On chyba jest za mały na operację. Nie słyszałem, żeby ktoś w tym wieku miał wycinany wyrostek.

– Najmłodszym udokumentowanym przypadkiem jest sześciotygodniowe dziecko. – Jane spojrzała na niego. – Na pewno nie zoperujemy go, jeśli nie będziemy pewni, że to jest niezbędne. Zbadam go teraz, a przez kilka kolejnych godzin będziemy go uważnie obserwować.

Przy badaniu malec znów się rozplakał, co z kolei zwiększyło zdenerwowanie rodziców. Jane zdecydowała, że następną ocenę stanu pacjenta wykona osobiście, a nie przy pomocy Mike'a.

– To ryzykowna operacja, prawda? – Ojciec chłopca obejmował żonę, która znów trzymała Harry'ego na rękach. Łzy spływały jej po policzkach.

– Z każdą procedurą chirurgiczną wiąże się jakieś ryzyko – przyznała Jane. – Ale z zapaleniem wyrostka wiąże się ryzyko jego pęknięcia. Na razie zaczekamy z decyzją. Postaramy się zapewnić Harry'emu jak największą wygodę i będziemy go obserwować. Proszę się za bardzo nie martwić. Państwa syn jest w dobrym szpitalu i zajmiemy się nim najlepiej, jak potrafimy.

Colin towarzyszył jej w drodze na oddział.

– Dzięki za pomoc, Jane – powiedział. – Mam nadzieję, że rodzice ze strachu nie odmówią podpisania zgody na operację, jeśli okaże się niezbędna.

Jane potrząsnęła głową.

– Chcą dla syna jak najlepiej. Trzeba ich po prostu informować o wszystkim, żeby nie czuli się wykluczeni. Za jakąś godzinę zejdę na dół, ale zawiadam mnie, gdybym była potrzebna wcześniej.

– Dobrze. – Kolega uśmiechnął się ciepło, a potem otworzył drzwi przeciwpożarowe, przez które wiodła droga na inne oddziały.

Wchodząc na wyższe piętro, Jane poczuła powiew powietrza wywołany zamykaniem ciężkich drzwi. Ufała diagnozie Colina i wierzyła, że odpowiednio poprowadzi ten przypadek. Nowy kolega wywarł na niej bardzo pozytywne wrażenie. Prawdę mówiąc, tak pozytywne, że cieszyła się nową znajomością trochę bardziej niż zwykle. Colin udowodnił, że jest kompetentny, systematyczny i godny zaufania. Te cechy bardzo sobie ceniła. Na dodatek wyglądał atrakcyjnie. Podobało jej się, że często chodzi w spodniach w drobne paski i białych koszulach ozdobionych muszkami w jaskrawych kolorach, które bardzo podobały się małym pacjentom. Colin był nie tylko kompetentny i przystojny, ale na dodatek do wzięcia. Jane oczekiwała, że wkrótce gdzieś ją zaprosi i będą mogli lepiej się poznać.

W zeszłym tygodniu ta perspektywa wydawała jej się bardzo kusząca. Dzisiaj, idąc do sali pooperacyjnej, zdała sobie sprawę, że straciła zainteresowanie tym spotkaniem. Dlaczego?

Ponieważ fryzura Colina była starannie ułożona i schludna, jak cała reszta stroju? Ponieważ miał nieco zbyt wąskie wargi? Dlaczego w ogóle zwraca uwagę na jego wargi? To absurd, że doktor Jane Walters, znajdując się w wirze profesjonalnych zajęć, który tak lubiła, poświęciła choćby przelotną myśl czyimś wargom.

Zastanawiała się, jak smakowałyby ich dotyk na jej ustach. Nie miała żadnych wątpliwości, że zupełnie nie umywałyby się do dotyku ust Dylana.

Z ulgą wróciła do spraw zawodowych. Dziewczynka ze zoperowanym podniebieniem miała się dobrze, co ją ucieszyło. Jane zajęła się kolejnym pacjentem, ale musiała przełożyć korektę zwięzienia odźwiernika, ponieważ wezwano ją na oddział intensywnej opieki, gdzie trwała resuscytacja noworodka.

– Przykro mi, że tak wyszło – przeprosił Colin. – Byłem na oddziale, kiedy zaczęły się kłopoty z tym malcem.

Maleńki Liam miał tylko dwa dni i niepokojąco rozdęty brzuch.

– Niechętnie je – poinformował ją kolega. – Nie wydała smółki i gorączkuje. Pogorszenie stanu zdrowia poprzedziły wymioty i biegunka.

– Ciąża i poród w normie?

– Tak.

– Matka nie ma cukrzycy?

– Nie.

– Zobaczmy, jak to wygląda.

Razem wykonali całkowite badanie, zlecając testy laboratoryjne i prześwietlenia niezbędne w przygotowaniu do ewentualnej operacji.

– To nie potrwa długo – stwierdził Colin. – Może znajdziesz dla niego miejsce jeszcze dziś rano, jeśli potwierdzimy chorobę Hirschsprunga?

– Oczywiście. Daj mi znać, jak coś będzie wiadomo.

Jane pośpiesznie zajrzała do izby przyjęć, a potem do Harry'ego. Stan chłopca się nie zmienił, tylko rodzice byli nieco spokojniejsi, przyzwyczajawszy się do otoczenia i sytuacji.

Myjąc się do operacji, Jane powiadomiła Mike'a o nowym potencjalnym pacjencie z intensywnej opieki.

– Wrodzone bezzwojowe jelito grube olbrzymie – wyjaśniła.

– Choroba Hirschsprunga. – Mike skinął głową. – Zrobimy ileostomię?

– Tak. Wolałabym odłożyć resekcję segmentu bezzwojowego do czasu, aż Liam skończy pół roku.

– A w izbie przyjęć czeka jeszcze wyrostek?

– Tak. Zapowiada się długi dzień.

– Takie lubię. – Mike uśmiechnął się szeroko.

– Ja też. – Jane odpowiedziała mu uśmiechem.

Colin otrzymał wyniki prześwietleń Liama, kiedy Jane kończyła spóźnioną operację. Nawet przyniósł je do sali pooperacyjnej, by zyskać na czasie, który zabrałoby jej przejście na oddział intensywnej terapii.

– Zajrzę też do Harry'ego – zaproponował. – Przysłać ci tu teraz Liama?

– Bardzo proszę. Po drodze wpadnę na kawę z muffinką. Nie zanoszę dziś na przerwę na lunch.

– Jakoś ci to wynagrodzę. – W jego uśmiechu kryła się obietnica – Znam doskonałą restaurację. Może pójdziemy tam, kiedy będziesz miała wolny dzień?

– Może. – Uśmiechnęła się z przymusem.

Przecież najbliższy wolny dzień spędzi poza miastem. Musi wrócić do Akaroi, by sprawdzić, jak sobie radzą jej goście. Obiecała, że zostanie z nimi przez weekend.

Ciekawe, co teraz robią? Zastanawiała się nad tym, wchodząc do pokoju lekarskiego przy sali operacyjnej. Sophie pewnie leży w koszu, w cieniu starej jabłoni, a Dylan przekopuje ogród lub przycina krzewy.

Przez chwilę niemal czuła zapach morskiego powietrza i wiosennych kwiatów. Słyszała pokrzykiwania ptaków, czuła ciepło słońca i widziała połyskliwą warstewkę potu na ramionach Dylana.

Zalane sztucznym światłem, pozbawione okien pomieszczenie nagle wydało jej się nieznośnie klaustrofobiczne. Nigdy przedtem nie czuła się tu jak w potrzasku. Bardzo ją to zaniepokoiło.

I zirytowało. Może dlatego, że musi w wolnym dniu wyjechać poza miasto i przez to nie może przyjąć zaproszenia Colina na niewątpliwie przyjemny lunch. A może dlatego, że bardzo chciała wyjechać z miasta i straciła zainteresowanie propozycjami Colina?

Zjadła czerstwego muffina, wypila niesmaczną kawę, cały czas udając, że czyta gazetę. Chciała uniknąć pogawędek z innymi członkami personelu, jednak czuła wokół ich obecność. Pielęgniarki i technicy. Jej anesteziolog. Młodszy lekarze i chirurdzy. Jeszcze nigdy to miejsce nie wydawało jej się tak zatłoczone.

Ciekawe, co by powiedzieli, gdyby mogli zobaczyć obraz tkwiący w jej głowie. Nie potrafiła wyrzucić z myśli wizji Dylana, jego ciemnych włosów, mięśni na jego ramionach i połyskującego w uchu złotego kolczyka. A gdyby wiedzieli, że nie może się pozbyć wspomnienia jego delikatnego pocałunku? Że ciągle ma ochotę zadzwonić do Akaroi nie tyle po to, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, ale przede wszystkim, żeby usłyszeć głos Dylana...

Wyobraziła sobie złośliwe uśmieszki, stłumione szepty. Jane Walters podoba się zwykły pielęgniarz? To jak gajowy lady Chatterley. Sama Jane nie miała uprzedzeń społecznych, lecz wiedziała, że są one dość powszechne. I że profesja medyczna jest jednym z bastionów tego typu postaw. Dylan byłby postrzegany jako ktoś stojący dużo niżej od niej.

Ktoś zupełnie nieodpowiedni. A już z pewnością nieodpowiedni dla niej. Zaskarbiła sobie szacunek współpracowników i nie miała zamiaru tego tracić. To, że Dylan ją pociąga, jest wystarczającym odstępstwem od ustalonego porządku rzeczy. Związek z nim jest niewyobrażalny. Nie mogła jednak zignorować faktu, że jej się podobał. Jane stłumiła gorzki uśmiech.

Izzy byłaby rozbawiona tą sytuacją. Oczywiście, że ci się spodobał, stwierdziłaby serdecznie. Każda kobieta marzy o ryzykownym związku z przystojnym poszukiwaczem przygód, niezależnym i nieco szalonym. Jeżdżącym na motocyklu, w skórzanej kurtce.

Wylała resztkę kawy do zlewu. Dylan nosi skórzaną kurtkę. Miał ją na sobie, kiedy pierwszy raz go zobaczyła. Również wysokie buty. Wyobraziła go sobie z przewieszoną przez plecy gitarą, siedzącego na wielkim motocyklu. Pokój nagle wydał jej się jeszcze bardziej przytłaczający. Musi stąd wyjść. Najlepiej będzie, jak się skupi na dzisiejszych zadaniach, które zwykle dawały jej tyle satysfakcji.

– Czy co robie? – spytał Dylan zaskoczony.

– Czy jeździsz na motocyklu? – powtórzyła.

– Kiedyś jeździłem – przyznał. – Miałem motocykl marki Ducati.

Dlaczego pytasz? – Uśmiechnął się do siebie. – Chciałabyś się przejechać?

– Nie! – zaprotestowała z przerażeniem. — Tak tylko się zastanawiałam, i tyle. – Odchrząknęła i mówiła dalej swoim zwykłym zasadniczym tonem. – Przyszło mi do głowy, że potrzebny ci jakiś środek lokomocji i...

– I doszłaś do wniosku, że wyglądam na kogoś, kto odjedzie w dal na motorze, na tle zachodzącego słońca? Może z gitarą przewieszoną przez plecy?

– Po prostu chciałam być miła i zastanawiałam się, jaki pojazd najbardziej by ci odpowiadał.

Dylan poczuł się przywołany do porządku. Szkoda rezygnować z wizji przejażdżki na motocyklu, z przytuloną do niego Jane na tylnym siedzeniu. Jego wargi znów rozciągnęły się w uśmiechu. Pewnie skończyłoby się to awanturą, kto ma usiąść za kierownicą.

– Wolalbym coś na czterech kołach, z drzwiami i dachem. Z miejscem na fotelik dla dziecka.

Starał się pozbyć tonu rezygnacji, ale prowadzenie sportowego samochodu Jane jest w tej chwili równie nierealne, jak przejażdżka na motocyklu.

Skąd w ogóle przyszedł Jane do głowy motocykl? Oczywiście, sam fakt, że o nim myślała, był dla niego bardzo miły. Krótkie rozmowy telefoniczne, które dotychczas prowadzili, zdawały się świadczyć o tym, że on i Sophie są dla niej jedynie ciężącym obowiązkiem.

Tym razem ku radości Dylana rozmowa przeciągała się, choć odpowiedział już na wszystkie pytania dotyczące codziennych spraw. Postanowił, że nie da Jane tak szybko wrócić do lektury pism medycznych, ostrzenia skalpeli czy innych tego rodzaju czynności, którymi pewnie się zajmowała przed udaniem się na spoczynek.

– Ogród wygląda coraz lepiej – poinformował ją z satysfakcją. – Oczyszciliśmy ścieżkę aż do tej szopy.

– Do altany?

– Czy to ta konstrukcja, po której pną się róże?

– Tak. Bardzo miło siedziało się tam w lecie.

– I będzie znów miło. Ale teraz wejście do środka mogłoby okazać się bolesne. Nie. Miałem na myśli ten domek, przy którym jest coś w rodzaju wybiegu ogrodzonego zardzewiałą siatką.

– A, chodzi ci o kurnik. Dobry Boże, zupełnie o nim zapomniałam. W dzieciństwie codzienne wybieranie jajek było moim ulubionym obowiązkiem.

– Mógłbym założyć nową siatkę, jeśli chcesz znów mieć kurnik.

– I hodować kury? – Prychnęła rozbawiona tym dziwnym pomysłem.
– Nie sądzę.

– No tak. Pewnie nie chcesz też zakładać warzywnika?

– Obawiam się, że nie.

Zapadła krótka cisza. Jane mogła wykorzystać ją, by zakończyć rozmowę. Ale Dylan odchrząknął i dodał:

– Przy werandzie zaczyna kwitnąć drzewo. Ma mnóstwo kwiatów, jaskrawoczerwonych i takich jakby puszystych. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– To pohutukawa – wyjaśniła Jane. – Nazywa się go w Nowej Zelandii drzewem gwiazdkowym, bo kwitnie w czasie świąt. Babcia ustawiała w domu pęki tych kwiatów w białych wazonach i wszędzie było pełno puchu z nich.

– Są przepiękne. – Zachęcony jej entuzjazmem Dylan ciągnął: – Przy domu rośnie świerk, który trzeba przyciąć. Pomyślałem sobie, że z kilku gałęzi można by było zrobić małą choinkę na pierwsze święta Sophie.

W słuchawce zapadło głucho milczenie. Czyżby się nie spodziewała, że zostaną tu do końca grudnia? A może po prostu nie interesuje jej obchodzenie jakichkolwiek świąt? Nie chciał, by rozmowa skończyła się nieprzyjemnym akcentem, więc postanowił ułatwić Jane wybrnięcie z sytuacji.

– Pewnie nie życzysz tu sobie żadnych świątecznych ozdób?

Mogła po prostu potwierdzić i zmienić temat, a tymczasem zaskoczyła go.

– Gdzieś w szopie jest pudło z dekoracjami – odparła wolno. – Babcia zawsze ustawiała choinkę. Na czubku zawieszała złotą gwiazdę. Kiedy byłam mała, myślałam, że jest prawdziwa. Że to gwiazdka z historii, której uwielbiałam słuchać.

– Ta sama, którą widzieli Trzej Królowie. Wiem.

Nuta współczucia pobrzmiewająca w jego słowach przez chwilę wisiała w powietrzu, ale Dylan nie chciał, by Jane myślała o utraconych przyjemnościach.

– Te ostróżki wyglądają bardzo ładnie.

– Co takiego?

– Ostróżki. Te wysokie kwiaty, białe i niebieskie. Chyba gdzieś dostrzegłem nawet jeden różowy.

– Wiem, co to ostróżki. Jestem tylko zaskoczona, że ty wiesz.

– Nie wiedziałem – przyznał. – Marg mi powiedziała.

– Marg? – Jane nie mogła skojarzyć imienia.

– Marg Coates. Ta pani, której ogród przylega do naszego. Siwe włosy, po sześćdziesiątce. Pracuje jako pielęgniarka w miejscowym szpitalu.

– Chyba jej nie poznałam. – W jej głosie znów usłyszał irytację. – W każdym razie nie pamiętam.

– Ona za to pamięta ciebie. Mówi, że byłaś słodką małą dziewczynką. Często słyszała, jak śpiewasz. I podobno często urządzałaś w altance proszone herbatki dla swoich lalek.

– To było bardzo dawno temu.

Ostrzeżony jej tonem Dylan postanowił nie wspominać, że Sophie mogłaby za kilka lat polubić taką zabawę. Mocno wyczuwał teraz dzielący ich

dystans, każdy kilometr wzgórz i bezkresnych równin. Dziwne, jak bliska się wydawała, kiedy odebrała późny telefon, dobrze wiedząc, kto dzwoni. Jeszcze bliższa była, gdy dzieliła się z nim wspomnieniem o świętach u babci. Jakby była tuż przy nim, w tym starym domu. Jakby wystarczyło sięgnąć ręką, by jej dotknąć.

Uczynił ostatni wysiłek, by znów się zbliżyła.

– Wydaje mi się, że mała Sophie uśmiechnęła się dziś do mnie. To był prawdziwy uśmiech, a nie tylko gazy.

– Jest na to trochę za mała.

– Ma sześć tygodni. Marg twierdzi, że to normalny wiek na pierwszy uśmiech.

– Już sześć tygodni? Trzeba ją zaszczepić. Zastanówmy się. Szczepienia w szóstym tygodniu obejmują błonicę, polio, tężec, koklusz i chyba zapalenie wątroby.

– Niektóre z tych szczepień dostała jeszcze przed podróżą. Wiem, że była szczepiona na zapalenie wątroby i polio. Nie jestem pewien pozostałych, ale na pewno wszystko zostało zapisane w jej dokumentach.

– Dobrze by było, gdybyś je odszukał. I zapisz ją do lekarza. Chyba przy szpitalu jest przychodnia. Łatwo można się dowiedzieć, kto tam jest kierownikiem.

– Jennifer. – Dylan stłumił rozczarowanie faktem, że Jane nie przejęła się pierwszym uśmiechem Sophie.

– Kto?

– Jennifer Tremaine. Żona Drew Stephensona. Oboje są lekarzami. Prowadzą szpital i przychodnię ogólną.

– Widać, że Marg jest bardzo gadatliwa.

– Tak, lubi rozmawiać. Powiedziała mi, że w tej chwili bardzo im tam brakuje personelu pielęgniarskiego.

– Tak? – To słowo zabrzmiało złowroźnie. – Chyba nie zamierzasz szukać tam pracy?

Niedobrze. Jak to się stało? Znowu wrócili do konfrontacyjnego tonu sprzed kilku dni, kiedy Dylan zasugerował oddanie Sophie do adopcji, by oboje mogli kontynuować swój dotychczasowy styl życia, bez konieczności kompromisów.

Przecież za żadne skarby tak by nie zrobił. Chciał tylko, by Jane zaczęła myśleć. Żeby poczuła się związana z dzieckiem. I ta strategia najwyraźniej zadziałała. Sprowokowała Jane do zwierzeń na własny temat.

Jej rozpacz po śmierci Izzy była dla niego objawieniem. Dowiedział się, że Jane Walters jest w stanie czuć głęboką więź z drugą osobą. A to oznacza, że jest w stanie poczuć tę więź ze swoją córką.

– Nie zamierzam – odrzekł, po ułamku sekundy wahania. – Nie po to tutaj przyjechałem.

Miał zamiar doprowadzić tę sprawę do końca i zostać tutaj tak długo, jak to będzie konieczne. Dla Sophie. Nie miało to nic wspólnego z nagłą chęcią, żeby chronić Jane. Chęcią, która obudziła się w nim, gdy wziął ją w ramiona i kiedy odkrył, jak niewiarygodnie miękkie są jej usta.

– Będziesz tu w weekend, tak jak planowałaś?

– Tak. Przyjadę w piątek wieczorem. Jeśli zostawię ci samochód, będę mogła wrócić do Christchurch autobusem.

– W niedzielę.

– Tak. W ten weekend nie mam dyżuru pod telefonem. Każdy z lekarzy dyżuruje tak raz na trzy tygodnie.

– To dobrze – stwierdził Dylan.

– Co? Że dyżurujemy raz na trzy tygodnie?

– Tak. – Starał się, by to zabrzmiało przekonująco. Nie chciał zdradzić, że bardzo cieszy go perspektywa spędzenia dwóch dni w jej towarzystwie.

Wszystko dla dobra Sophie, powtarzał sobie w myślach, gdy odłożył słuchawkę. Im więcej czasu Jane spędzi w towarzystwie córki, tym mocniejszą można mieć nadzieję, że ją pokocha. Że powstanie między nimi nierozzerwalna więź. Coś, co przekona ją, że zmiana stylu życia jest czymś, nad czym warto się zastanowić.

Wszystko dla dobra Sophie, powtarzał sobie, gasząc światła na dole i wchodząc na piętro.

Tak. Akurat.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Uśmiechnęła się! Do mnie!

– Oczywiście. Przecież ci mówiłem, że to potrafi. Wszyscy troje się uśmiechali. Był piątkowy wieczór,

Sophie leżała w wanience na kuchennym stole, a Jane właśnie przyjechała. Nadal trzymała w ręce podróżną torbę. Przystanęła u podnóża schodów, by się przywitać z Dylanem, i wtedy właśnie Sophie się uśmiechnęła.

Przez chwilę Jane po prostu stała zaskoczona, patrząc, jak buzia dziecka rozciąga się wesoło. Dziewczynka zdawała się uśmiechać całą sobą, łącznie z ciałkiem. I patrzyła przy tym na nią! Jane jako lekarz nieraz widziała radosne dzieci, ale ten przypadek był po prostu wspaniały. Szeroki żabi uśmiech rozciągający twarzyczkę dziecka od ucha do ucha.

Jane zerknęła na Dylana. Czy on to widzi? Widzi i sam też się uśmiecha, więc nie może mu pozostać dłużna. Teraz na twarzach całej trójki gościł radosny uśmiech. Napięcie wywołane tygodniem ciężkiej pracy gdzieś zniknęło. Jane poczuła, jak ogarnia ją uczucie błogości.

– Coraz lepiej jej to wychodzi, prawda? – stwierdził z dumą Dylan. Kiedy uśmiech zaczął znikać, połaskotał dziecko w brzusek i rozradowana mina znów się pojawiła, tym razem przypominając wybuch śmiechu.

Towarzyszyło temu radosne wierzgnięcie nóżką, które wzbilo fontannę wody z wanienki.

Jane zamrugła kilka razy, by odzyskać jasność widzenia. I myśli. Musiała sobie powtórzyć w myślach, że wszystkie niemowlęta wyglądają słodko, gdy się uśmiechają. Nawet jeśli w tym tygodniu nie widziała żadnego z charakterystycznym dołeczkiem u nasady nosa, to i tak Sophie nie stanowi tu wyjątku.

Jane strzepnęła z ubrania wodę, która może pozostawić ślady na jedwabiu. Potem przeprosiła Dylana i zaniósła torbę na górę. Dzieci są jak małe kotki, powtarzała sobie. Kiedy się je ogląda w sklepie ze zwierzętami, są prześliczne i słodkie. Niczego bardziej się nie pragnie, jak tylko zabrać je do domu. A potem wyrastają z nich duże normalne koty, którymi trzeba się opiekować, regularnie karmić, zabierać do weterynarza i martwić się, co z nimi zrobić, kiedy planuje się wyjazd.

Zwierzęta domowe – i dzieci – nadają się dla ludzi, którzy nie mają wymagającego życia zawodowego. Albo dla mężczyzn, których stać na luksus posiadania żony oddanej prowadzeniu domu. Żony, dla której obowiązki domowe są same w sobie przyjemnością i celem, a nie tylko uciążliwą koniecznością.

Taka kobieca wersja Dylana?

Pomysł odwrócenia ról nie był tak całkiem nedorzeczny. Jane postawiła torbę na łóżku i wyjęła z niej rzeczy przywiezione tu na weekend. Dylan zapewne nie sprzeciwiałby się roli męża przy pracującej żonie. Jak by to było codziennie wracać do czystego domu, uporządkowanego ogrodu, do szczęśliwego dziecka i do czekającego na stole posiłku? Do przystojnego mężczyzny, który dzieliłby z nią życie i... łóżko?

Jane poczuła dreszcz podniecenia i nie próbowała go powstrzymać. Oczami wyobraźni niemal widziała w rogu pokoju Izzy, dodającą jej otuchy pełnym aprobaty skinieniem głowy i uśmiechem.

Zdjęła zakiet i rozpuściła włosy, uprzednio związane w koński ogon. Przeczesała je palcami, by opadły na ramiona. Przecież to jest jej wolny czas. Czas na relaks i bez troskę. Jeśli część tego relaksu ma polegać na poddaniu się urokowi mężczyzny, który mógł być marzeniem niejednej kobiety, to dlaczego nie? Nie widziała w tym nic złego.

Wracała do kuchni ożywiona i przejęta.

– Coś pięknie pachnie.

– Głodna? – Dylan trzymał ubraną Sophie na ramieniu, jednocześnie krzątając się po kuchni.

– Jak wilk. Nie sądziłam, że coś dla mnie ugotujesz.

– Nie tylko ty jesteś tu głodna. Prawda, słonko? – Uśmiechnął się do dziecka i sięgnął po butelkę z mlekiem, która ogrzewała się w dzbanku z gorącą wodą. – Przygotowałem dla nas rybę. Zaraz włożę ją do piekarnika. – Przeniósł wzrok najpierw na Sophie, potem na butelkę, i z powrotem na Jane. – Chciałabyś może...?

– Nakryć do stołu? – Uśmiechnęła się szeroko. – Oczywiście. Nie ma problemu. – Chwyliła stojącą tam nadal wanienkę, wdzięczna, że może odwrócić wzrok i nie patrzeć na pełną dezaprobaty minę Dylana. – Gdzie to zwykle trzymasz? W pralni?

– Tak... – Wyglądało na to, że Dylan chce jeszcze coś powiedzieć, ale Sophie zakwiliła niecierpliwie, więc tylko westchnął. – Zaraz będzie jedzenie – uspokoił dziecko. – Nie denerwuj się.

Jane wylała wodę z wanienki, złożyła ręczniki i odstawiła na miejsce szampon oraz talk. Wycierając stół, nadal czuła jego zapach. Miły ciepły zapach świeżo wykąpanego dziecka sprawił jej dziwną przyjemność i wcale nie gryzł się z kulinarnymi aromatami kuchni.

W domu było ciepło zarówno od włączonego piekarnika, jak i od żaru ognia na kominku, który został rozpalony na jakiś czas przed jej przyjazdem. Kuchnię spowijało łagodne światło, z góry dochodziły odgłosy krzątania Dylana.

Życie znów tętniło w tym domu, pierwszy raz od bardzo długiego czasu. Ostatnio taka atmosfera panowała tutaj za życia babci. Matka Jane mieszkała w mieście, a tu przyjeżdżała z rzadka, na weekendy.

Po nakryciu stołu Jane właściwie nie pozostało nic więcej do zrobienia, jak tylko nalać sobie kieliszek wina i czekać na Dylana. No i cieszyć się miłym otoczeniem, do którego nie nawykła. Rzadko siadywała w kuchni. Spotkania towarzyskie zwykle oznaczały dla niej wyprawę do restauracji lub na kolację do domu któregoś z kolegów. Na pewno nie obejmowały zapachu talku dla dzieci ani butelek z mlekiem. Ale tak jest... miło.

Miała za sobą wyjątkowo ciężki tydzień; a przez zamieszanie w życiu osobistym stres, który zwykle dodawał Jane skrzydeł, wyczerpał ją i zmęczył. Jej świat stanął do góry nogami i się pogubiła. Dlaczego tak niechętnie myślała o obowiązku przyjazdu do Akaroi, skoro teraz, gdy już się tu znalazła, nie wyobrażała sobie lepszego miejsca na spędzenie weekendu?

Po powrocie do kuchni Dylan nie wspomniał o jej niechęci do zajęcia się dzieckiem. Ustawił na stole miskę sałaty, butelkę z dresingiem, masło i talerzyk z pokrojoną na ćwiartki cytryną. Potem odcedził ziemniaki i odwinął z folii wyjęte z piekarnika porcje ryby. Okazało się, że równie wybornej Jane jeszcze nigdy nie jadła.

– Ta ryba smakuje fantastycznie. Co to jest?

– Dorsz. Nic wyszukanego, ale świeży. Z morza prosto na talerz, dzięki uprzejmości Johna.

– Kto to jest John? – Nie pierwszy raz Dylan wymieniał imię, które dla niej nic nie znaczyło.

– John Bellamy. Spotkałem go kilka razy, kiedy spacerowałem z Sophie. Tak na oko łowi tutaj ryby od sześćdziesięciu lat. Starszy człowiek, bardzo sympatyczny.

To dziwne, ale poczuła się odsunięta na margines. Urażało ją, że Dylan czuje się tutaj o wiele bardziej w domu niż ona. Ton jej głosu stał się kwaśny jak cytryna, którą wycisnęła na rybę.

– I pewnie on też znał moją babcię?

Dylan uśmiechnął się szeroko.

– Pewnie tak, choć nie pytałem. Nie rozmawiam na twój temat z każdym, kogo spotkam, Jane.

Podobał jej się sposób, w jaki Dylan wypowiedział jej imię. Sprawił, że poczuła się w centrum uwagi. Podobała jej się też ukryta w zdaniu sugestia, że jednak z kimś o niej rozmawia. Może tak samo często, jak ona o nim myśli?

– Widać, że się tu zadomowiłeś. Pewnie znasz już połowę miasteczka. – Dlaczego u licha czuła jakby... zazdrość?

– Ludzie tutaj są bardzo mili, więc lubię z nimi rozmawiać. To mi przypomina dom.

– Naprawdę?

– Zwłaszcza przystań. – Dylan odłożył widelec i sięgnął po kieliszek. – Dorastałem w Oban, gdzie mój tata był rybakiem. Pamiętam, jak czekałem na nabrzeżu, aż przyplynie jego łódź. To są moje najwcześniejsze wspomnienia. Kiedy skończyłem pięć lat i potrafiłem już unieść cumę i okręcić ją wokół słupka, byłem taki dumny z siebie, że pozwolono mi pomagać. Josh mówił, że niewiele brakowało, a pękłbym z dumy. Jane roześmiała się.

– A sam wypływałeś na połów?

– Przez jakiś czas. Kilka lat później przeprowadziliśmy się do Glasgow i wtedy wypływaliśmy w morze tylko w wakacje, na wypożyczonej łodzi.

– Tata zrezygnował z rybołówstwa?

– Nie z własnego wyboru. W jego żyłach płynie morska woda, a nie krew. Nie znosi miasta.

– Dlaczego więc się przeprowadziliście?

– Po śmierci mamy samotne wychowywanie dwóch synów było za trudne przy takiej pracy.

– Och... – Mówił już, że jego mama zmarła przedwcześnie, ale Jane jakoś nie zanotowała tej informacji w pamięci. Teraz nabrała ona zupełnie nowego znaczenia. Brat Dylana również nie żyje, tak jak matka. Pozostał więc tylko on i ojciec. Nie jest to idealny układ rodzinny do wychowywania małej dziewczynki. Natychmiast zawstydziała się tak egoistycznej reakcji.

– Przykro mi – powiedziała szczerze. – O ile pamiętam, zmarła na zapalenie płuc?

– Tak. Miała „słabe płuca”, jak mawiała. Łatwo zapadała na infekcje. Cierpiała też na astmę. Z początku wydawało się, że to nic nadzwyczajnego, ale choroba rozwinęła się szybko i gwałtownie. Wirusowe zapalenie płuc. Mama zmarła na drugi dzień.

– A ojciec wychowywał was sam? Nie ożenił się powtórnie?

– Chyba nawet nie przyszło mu do głowy, że ktoś może zastąpić naszą matkę. Była miłością jego życia. Kiedy się przeprowadziliśmy i tata dostał pracę, przy której nie musiał na tak długo znikać z domu, dawaliśmy sobie radę. Mieliśmy siebie.

Proste, ale tak wiele mówiące stwierdzenie. Siła związków w tej rodzinie była niemal namacalna.

– Twój ojciec musi być niezwykłym człowiekiem – powiedziała Jane w niezobowiązującej ciszy, która na chwilę zapadła. Potrafił poświęcić się dla rodziny.

Dylan miał pełne usta, więc tylko skinął głową. Po chwili wypił łyk wina i dopiero wtedy znów się odezwał.

– Bardzo by mu się tutaj podobało – stwierdził z namysłem. – Na emeryturze nie chciał wrócić do Oban. Twierdzi, że czułby się tam samotny. Ale nowe miejsce, takie jak to, dałoby mu nową chęć do życia. Zwłaszcza że ludzie są tutaj przyjaźni, morze i góry niedaleko. Dla niego byłby to raj. Jane, zdajesz sobie sprawę, jaką jesteś szczęściarą?

– Nowa Zelandia to piękny kraj – zgodziła się. – Tutaj każdy czuje się jak w domu. Czasami trzeba na coś spojrzeć cudzymi oczami, żeby naprawdę to docenić.

– To prawda – odrzekł z nieprzeniknioną miną. – Ja zrobiłem kolację, w takim razie ty zmywasz – zdecydował chwilę później.

– Aha. – Wolałaby sama to zaproponować, niż otrzymać polecenie, ale nie zaprotestowała, słysząc lekko prowokujący ton jego głosu. – Nie ma sprawy.

– A jutro twoja kolej na gotowanie.

Obraz mężczyzny kochającego domowe obowiązki rozpląnął się w powietrzu. Możliwość, że Dylan w przyszłości chętnie zostałby panem domu przy pracującej żonie, należy wykreślić z listy możliwych rozwiązań.

Tak samo jak mężczyźni, których dotychczas spotkała, wykreślali ją z listy potencjalnych kandydatek na życiową partnerkę? Ponieważ nie stanowiła odpowiedniego materiału na tradycyjną żonę i matkę? Czy to, że wybrała w życiu inny kierunek, jest aż tak naganne? Chciała się w pełni poświęcić wielu ludziom, a nie wybranej grupce. Przecież nie ma w tym nic złego. Wręcz przeciwnie, to postawa godna pochwały. Jane była dumna ze swojej pracy i z tego, kim jest. Miała prawo bronić swojego wyboru.

– Zamówię coś na wynos – oznajmiła tonem, który dobrze znali jej stażyci i wiedzieli, że nie należy się mu sprzeciwiać.

– Aha. Nie ma sprawy.

Celowo powtórzył jej słowa. I tak samo wyczuła w nich lekkie zaskoczenie i ukryte rozczarowanie. Dylan wstał, wyraźnie chcąc ją zostawić samą z obowiązkiem sprzątnięcia po kolacji. Rzucał wyzwanie jej autorytetowi, co powinno ją zirytować. Traktował ją jak podwładną. To niedorzeczne, ale czuła się tak, jakby oblała egzamin. Policzki jej poczerwieniały.

– Ja nie umiem gotować – wyjaśniła, przemawiając do pleców Dylana. – Chyba że liczy się jajecznicą.

Nie odwrócił się, ale po głosie poznała, że się uśmiecha.

– Liczy się. Dorzuć trochę bekonu, a będę całkiem zadowolony.

Nie powinno mieć dla niej znaczenia, czy Dylan jest zadowolony. W każdym razie nie powinno to dla niej znaczyć aż tyle. Jednak zbierając talerze, zastanawiała się, czy w ogrodzie znajdzie wystarczająco dużo świeżej natki pietruszki, by zadowolić jego gust.

Zmywając naczynia i ustawiając je w kredensie, słuchała muzyki, którą włączył w pokoju. Nie знаła tej płyty, ale bardzo jej się podobała. Męski głos śpiewający celtyckie ballady przy dźwiękach gitary klasycznej.

Kiedy w końcu weszła do salonu, zatrzymała się jak wmurowana. To nie była płyta. Dylan siedział na stołku od pianina, trzymając w dłoniach gitarę z takim samym czułym uczuciem, z jakim obejmował Sophie. Śpiewał, całkowicie zatopiony w swojej muzyce.

Jane nie mogła się poruszyć. Przez długą chwilę nie była w stanie nawet zaczerpnąć powietrza.

Muzyka Dylana działała na nią jak... jak uśmiech Sophie. Znów ogarnęło ją poczucie błogości. Łagodne, opływające całe ciało ciepło i rodzaj tęsknoty, przez którą do oczu napłynęły jej łzy. Przypomniało jej się, jak przytulała ją

babcia. W jej rodzinie nie mówiło się głośno o miłości, ale właśnie tego uczucia doznawała wtedy w pełni. Miłość.

Czyżby zaczynała tracić głowę dla włóczykija, który wniósł w jej życie tę muzykę? I dziecko z dołeczkiem u nasady nosa i uśmiechem, dzięki któremu wszystko nabiera żywszych barw? Potrząsnęła głową, by zrzucić z siebie ten urok i móc się poruszyć. Dla nikogo nie traciła głowy. W jej życiu nie było miejsca na ten rodzaj miłości. Przynajmniej od czasu śmierci babci.

Unikanie tego uczucia nie było jednak jej świadomą decyzją. Kiedyś bardzo się starała je odnaleźć. Starła się tak mocno, że nieraz poznała, jak to boli, kiedy ktoś skreśla cię z listy potencjalnych kandydatek na towarzyszkę życia. Istnieją rzeczy, w których jest bardzo dobra, oraz inne, które jej nie wychodzą. Jeśli Dylan kiedyś pozna ją lepiej, dowie się tego i prawda bardzo go rozczaruje. Bardziej niż brak umiejętności gotowania.

Ale tak się nie stanie. Jane przeszła przez pokój i usiadła na kanapie. Blisko kominka, ale w pewnym oddaleniu od Dylana. Dźwięki gitary ucichły.

– Nie przerywaj – poprosiła. – To śliczna piosenka. I gdzie znalazłeś gitarę?

– W miasteczku jest sklepik z używanymi rzeczami, obok supermarketu. Nie mogłem się oprzeć. Piękna, prawda? – Palce Dylana znów spoczęły na strunach. – Na pewno ci ta muzyka nie przeszkadza?

Nic a nic. – Jane podwinęła nogi i zapatrzyła się w ogień. Kilka minut później doszła do wniosku, że się pomyliła. Ta muzyka jej przeszkadza. Dźwięk gitary, a w jeszcze większym stopniu głos Dylana odbierały jej coś ważnego. Panowanie nad sobą?

Nie mogła oderwać wzroku od jego rąk dotykających strun i wyczarowujących słodkie nuty. Nie potrafiła się też powstrzymać, by od czasu

do czasu nie przenieść spojrzenia na jego usta, z których płynęły słowa. Nagle zauważyła, że i on się jej przygląda.

Nie przerwałyby tego kontaktu wzrokowego nawet gdyby to była kwestia życia i śmierci. I rzeczywiście czuła się tak, jakby od tego zależało jej życie, tak silne i bolesne ogarnęło ją pragnienie. Chciała, by te ręce dotknęły jej ciała. Była pewna, że stworzyłyby harmonię, jakiej dotychczas nie doświadczyła. On też tego pragnął. Poznała to po tym, jak ściemniały jego oczy, a głos stał się niższy i bardziej ochrypły.

Traciła głowę dla piosenki. Budziła się w niej miłość. I mimo to nie mogła odwrócić wzroku.

Głos Dylana stawał się coraz niższy, aż w końcu śpiewak musiał zamilknąć, by odchrząknąć. Jego palce znieruchomiały, a Jane mogłaby przysiąc, że w tej ciszy słyszy bicie własnego serca. Dylan otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zdążył. W tej samej chwili dobiegł ich dziecięcy płacz z sypialni na piętrze.

Rozczarowanie było ogromne. Spojrzenie Dylana świadczyło o tym, że i on odczuł coś podobnego. Ironiczny uśmiech zdawał się mówić, że to, dzięki czemu się spotkali, teraz przeszkodziło im zbliżyć się do siebie jeszcze bardziej.

– Chcesz się tym zająć? – zapytał cicho.

Kubel zimnej wody nie ostudziłby jej pożądania bardziej skutecznie. Zamiast niego pojawiła się panika. Przecież Dylan wie, że ona nie potrafi zajmować się dziećmi, a zwłaszcza Sophie. Wiedziała, dlaczego nakłania ją do kolejnej próby kontaktu, ale przecież tym razem też na pewno jej się nie uda.

Oczywiście chciała jakoś pomóc, ale nie mogła, bo nie miała pojęcia, jak to zrobić. Poniesie porażkę. Sophie zacznie płakać jeszcze głośniejsze, Dylan będzie zirytowany, a ona poczuje się jak kompletny nieudacznik.

Prawdę mówiąc, wcale nie chce pomóc.

Liczy się sukces, a ona jest już w takim wieku, że potrafi unikać sytuacji skazanych na zakończenie się porażką. A do tych sytuacji należą stale związki z mężczyznami i zajmowanie się dziećmi w sytuacjach innych niż kliniczne. Potrząsnęła głową.

– Nie. Lepiej będzie, jak ty do niej pójdziesz.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. – Dylan uśmiechnął się uprzejmie. – Rzeczywiście, mamy dziś bardzo ładny dzień.

Jane odstawiła kubek z kawą i usiadła na górnym stopniu schodów wiodących na werandę. Odgryzła kęs trzymanej w ręce grzanki.

Dylan siedział w bujanym fotelu i karmił Sophie. Starał się nie patrzeć na dekolt bluzki, którą Jane miała dziś na sobie, odsłaniający gładką skórę i zarys piersi. Do diabła. Kiedy wrócił wczoraj na dół, uśpiwszy Sophie, stwierdził, że Jane już poszła spać. Nie mówiąc ani słowa, jakby nic ważnego między nimi się nie zdarzyło.

Może rzeczywiście nic się nie zdarzyło. Może tylko mu się wydawało, że coś zobaczył w jej twarzy, kiedy słuchała jego piosenki.

Nie. Potrafił rozpoznać pożądanie. Gdyby Sophie nie zaczęła płakać, odłożyłby gitarę, wziął Jane za rękę i poprowadził ją do sypialni.

– Ogród wygląda pięknie. Zrobiłeś kawał dobrej roboty, Dylan.

– Dzięki – odrzekł krótko.

Owszem, to była dobra robota. Zarówno jeśli chodziło o ogród, jak i o jej córkę. Ale przecież nie był jej pracownikiem!

– Zwykle o tej porze idziemy z Sophie na spacer –oznajmił, wstając. – Jeśli masz ochotę nam towarzyszyć, to będzie mi bardzo miło.

Nie miał prawa się na nią złościć. Wkroczył w jej życie, przewrócił je do góry nogami i oczekuje, że ona natychmiast się dostosuje. I tak robiła, co mogła.

Mogła zostać w domu i przeczytać kilka publikacji! w najnowszych periodykach, które wsunęła do torby, ale poszła na spacer i teraz truchtała za nimi, starając się nadażyć za długimi krokami Dylana.

Dylan szedł na tyle szybko, że czuła, jak znów budzi się w niej sprzeciw. Coraz bardziej zostawała w tyle, a to dodatkowo potęgowało uczucie, że traci kontrolę nad sytuacją. Wczoraj czuła to samo i dlatego nie czekała, aż Dylan wróci na dół. A dziś rano obudziła się z postanowieniem, że utrzyma kontrolę nad swoim życiem!

– Gdzie ci się tak śpieszy? – zawołała. – Mamy mnóstwo czasu.

– Czyżby?

Dylan zwolnił i odwrócił się, by sprawdzić, czy za nim nadażą. Teraz widziała Sophie w nosidełku na jego piersiach. Stanowili piękny obrazek. Rosły ciemnowłosa mężczyzna i małe dziecko, ufnie do niego przytulone. Gdyby Dylan się uśmiechał, mogliby stanowić ilustrację idealnego rodzicielstwa. Ale on się nie uśmiechał.

Troska na twarzy Jane musiała malować się bardzo wyraźnie, ponieważ zatrzymał się i poczekał na nią.

– Myślałem, że może sytuacja się zmieniła – powiedział, kiedy była na tyle blisko, by usłyszeć jego cichy głos. – Że przez ten tydzień zdecydowałaś się, żeby przynajmniej trochę poznać swoją córeczkę. Przecież kiedy dzwoniłaś, robiłaś wrażenie zainteresowanej.

– Bo byłam. Jestem! – zaprotestowała. Dylan potrząsnął głową.

– Nie chcesz jej karmić ani zmieniać jej pieluszek, kiedy płacze – podsumował.

– Dlatego, że ona mnie nie lubi – broniła się Jane.

– Sam widziałeś, co się dzieje, kiedy biorę ją na ręce. Zaczyna jeszcze głośniej płakać.

– Nie zna cię. I jeśli tak dalej pójdzie, nigdy cię nie pozna. Nie mamy aż tak wiele czasu. Trzeba podjąć jakieś decyzje. Sophie potrzebuje pewności. Powinna poczuć, że gdzieś przynależy. Ja też chcę to poczuć.

To ostatnie zdanie zabrzmiało dziwnie. Jane uniosła brwi, oczekując, że Dylan coś doda, ale jakaś para z dzieckiem na rowerze miała trudności, by ich wyminąć, więc Dylan znów ruszył przed siebie.

Dzień zaczął się źle, a rozwijał jeszcze gorzej. Jane unikała bliskości Sophie, wiedząc, że to tylko utrudni sytuację. A teraz zaczęła unikać również Dylana. Oddalała się na bezpieczną odległość. Tchórzyła.

Wzięła głęboki oddech i przyśpieszyła kroku. Postanowiła bardziej się postarać.

– Mogę ci postawić kawę? – zaproponowała. – Niedaleko jest moja ulubiona kawiarnia.

Kilka chwil później siedzieli w ogródku, na białych krzesłach z kutego żelaza, w cieniu winorośli porastającej pergolę. Jane czuła wdzięczność do Dylana za szansę udowodnienia, że nie jest taka zła.

Postąpił bardzo wspaniałomyślnie. Przecież i jego zaskoczyło to nieoczekiwane rodzicielstwo. Zasługiwał na coś więcej niż jej niechęć do przejęcia choćby części obowiązków. Zacznie się starać. Zobaczyła, że Dylan odpina paski nosidełka.

– Czy mogę... ją potrzymać?

Sophie spojrzała na nią z równie niepewną miną jak jej własna. Zakwiliła cicho, wprawiając Jane w panikę. Chciała mu powiedzieć spojrzeniem „a nie mówiłam”, ale przesłaniała go kelnerka. Właśnie stawiała na ich stole kawę i

dzbanek gorącej wody, o który poprosił Dylan, do podgrzania butelki dla dziecka.

Wystraszona mina Jane nie zrobiła na nim wrażenia.

– Po prostu domaga się jedzenia. Masz. Jest już wystarczająco ciepłe.

Pyszna podwójna kawa z chudym mlekiem, zamówiona przez Jane, stała przed nią i stygła, podczas gdy ona nerwowo próbowała nakarmić niemowlę butelką, po raz pierwszy w swoim życiu.

– Połóż ją bardziej płasko – doradził Dylan, kiedy kwilenie Sophie stało się głośniejsze. – W takiej pozycji, jakbyś ją karmiła piersią.

Jane lekko się zaczerwieniła, ale kiedy odpowiednio ułożyła dziecko, samo instynktownie otworzyło usta i zaczęło ssać, wpatrując się w nią. Trzymała ciepłe ciało tuż przy sercu i czuła, że ogarniają ją dziwne emocje. Równie silne, jak te przyciągające ją zeszłej nocy do Dylana, ale całkiem odmiennej natury. Jak coś, co nie ma nic wspólnego z pożądaniem, może być tak potężne?

– Ile czasu najdłużej mieszkałeś w jednym miejscu? – zapytała. – Jako dorosły człowiek, oczywiście.

Dylan w skupieniu patrzył na Sophie. Z namysłem zmarszczył czoło i w końcu podniósł wzrok.

– Mniej więcej rok. Dlaczego pytasz?

– Co cię pcha do ciągłych przenosin? Wzruszył ramionami.

– Jest tyle miejsc, które warto zobaczyć. Tylu nowych ciekawych ludzi. Może twoje domysły są słuszne. Pewnie mam w żyłach cygańską krew.

– I nigdy cię nie kusiło, żeby się gdzieś zadomowić?

– Nie. – Przejrzał ją, dostrzegła to w jego oczach.

– Jeszcze nigdy nie znalazłem czegoś, co byłoby warte zapuszczenia korzeni w jednym miejscu. – Urwał na ułamek sekundy. – Aż do teraz.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Przez jedną niezwykłą chwilę Jane sądziła, że ma na myśli ją.

Chce tu zostać ze względu na nią. Nie dlatego, że jest biologiczną matką Sophie, ale ze względu na owo niewypowiedziane głośno porozumienie, które ich wczoraj złączyło. Przeszedł ją nagły dreszcz. Ale potem Dylan przeniósł spojrzenie na dziecko.

– Sophie – wyszeptała.

– Tak. – Znów skupił uwagę na niemowlęciu. – Chyba już się najadła. Jeśli mi ją oddasz, będziesz mogła spokojnie wypić kawę. Pewnie ci ostygła.

Jane odstawiła butelkę, a Dylan wstał. Już miała mu podać dziecko, gdy zauważyła, że utkwił wzrok gdzieś za nią. Odwróciła głowę i zobaczyła tego człowieka, który z wysiłkiem usiłował wstać. Odsuwał od siebie stolik, by zrobić więcej miejsca. Kiedy w końcu wstał, gwałtownie pochylił się do przodu i chwycił się ręką za gardło. Nie ulegało wątpliwości, że to przypadek zadławienia.

Twarz mu gwałtownie poczerwieniała. Jego towarzyszka krzyknęła z przerażeniem, ale Jane nie patrzyła na nią, tylko na Dylana, który jednym spojrzeniem oszacował całą scenę i bez namysłu ruszył do akcji. Czyjeś życie znalazło się w niebezpieczeństwie, więc Dylan nie tracił czasu na wahanie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mężczyzna nie był tak wysoki jak Dylan, ale o wiele cięższy, i w dodatku chwiał się na nogach. Dylan stanął za nim, objął go i splecionymi w pięść dłońmi naciskał raz po raz jego przeponę, usiłując wywołać kaszel.

Jane rozpoznała idealnie wykonany manewr Heimlicha. Siedziała jak skamieniała, trzymając Sophie. Była wdzięczna losowi za obecność Dylana. Sama w tej sytuacji nie byłaby w stanie pomóc, nie dysponując odpowiednią siłą fizyczną.

Z mężczyzną jednak było coraz gorzej. Zwisał bezwładnie w uścisku Dylana, więc trzeba go było położyć na chodniku. Dylan ukląkł obok niego, ułożył dłonie na jego klatce piersiowej i kilka razy nacisnął w taki sposób, jakby ratował ofiarę zawału. Potem przekręcił go na bok i parokrotnie uderzył płaską dłonią w plecy. Następnie znów ułożył mężczyznę na plecach i rozpoczął uciskanie klatki piersiowej.

– Trzeba wezwać karetkę! – ktoś zawołał.

– Shane! – Towarzyszka mężczyzny łkała na cały głos. – Mój Boże! Shane!

– Widziałem doktor Tremaine – odparł któryś z gapiów. – Dziesięć minut temu była w supermarkecie. Zobaczę, może jeszcze jest.

– Właśnie. – Człowiek stojący obok Jane przyglądał się Dylanowi. – Czy ten gość wie, co robi?

– To pielęgniarz – warknęła. – A ja jestem lekarzem i zapewniam pana, że dobrze wie, co robi.

Dylan, nie zwracając uwagi na otoczenie, nadal prowadził akcję ratunkową. Mężczyzna zakrztusił się, zacharczał i wreszcie wypluł coś, co

wyglądało jak spory kawałek skóry z boczku. Po minucie odzyskał świadomość, a jego twarz przybrała zwykły kolor.

– Niech nie wstaje – zakomenderował człowiek, który przedtem wątpił w kompetencje Dylana. – Mam zrobiony kurs pierwszej pomocy i wiem, że nie należy podnosić ofiary aż do przyjazdu karetki.

– On musi oddychać – wyjaśnił spokojnie Dylan – a łatwiej jest to robić, kiedy się siedzi.

I rzeczywiście mężczyzna, choć nadal z trudem, siedząc, głębiej wciągał powietrze w płuca, podtrzymywany przez Dylana i swą pobladłą towarzyszkę.

– Czuje pan ból? – zapytał Dylan.

– Tak.

– Cierpi pan na jakieś choroby serca?

– Nie.

– Ale czasami skarżysz się na ból, kochanie – odezwała się kobieta. – Parę dni temu, po joggingu, pamiętasz? I kiedy kosiłeś trawę.

– Czuł pan ból, zanim się pan zadławił? – wypytywał Dylan.

– Tak. Chyba tak. Nie mogłem przełykać.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś? – zawołała kobieta.

– Rae, nic mi nie jest. Nie rób zamieszania. Muszę tylko chwilę odpocząć.

Nadal jednak wyglądał źle. Jego twarz przybrała szarawą barwę i pocił się obficie.

– Jak pan się teraz czuje? – zapytał Dylan, jednocześnie mierząc puls mężczyzny.

– Jakoś tak ciężko. I oddychanie sprawia mi ból.

– Tylko w piersi?

– Nie, również w gardle.

– Może jeszcze gdzieś?

– W ramieniu. Czuję ból w ramieniu.

– W lewym?

– Tak.

– Jak silny jest ten ból? W skali jeden do dziesięciu, gdzie dziesięć to najgorszy ból, jaki może sobie pan wyobrazić.

– Jest coraz gorzej. Powiedziałbym, dziesięć. Grupa gapiów rozstąpiła się, by przepuścić ciemnowłosą kobietę.

– Witam. Jestem Jennifer Tremaine. Lekarka z miejscowego szpitala.

– Dylan McKenzie. Przyjezdny pielęgniarz. A to pan Shane. Ile pan ma lat?

– Czterdzieści sześć.

Oceniwszy sytuację, doktor Tremaine spojrzała na Dylana z uznaniem, a nawet z podziwem, co nie uszło uwadze Jane. Przyglądała się atrakcyjnej lekarce i mimo woli zadała sobie w myśli pytanie o jej stan cywilny. Panna? Nie. Dylan mówił, że szpital prowadzi małżeństwo lekarzy. Oczywiście, nie ma to dla niej żadnego znaczenia, ale jednak poczuła ulgę.

Z tą sytuacją nie poradziłaby sobie lepiej niż Dylan. Nie miała tyle siły, by w ten sposób ocalić człowiekowi życie. Na dodatek Dylan właśnie zdawał lekarce sprawozdanie, z którego wynikało, że chodzi o coś więcej niż zwykłe zadławienie.

Przy kawiarni zatrzymał się samochód z napędem na cztery koła, z migającym światłem na dachu.

– To nasza karetka – wyjaśniła Dylanowi lekarka. – Trzeba zabrać pacjenta do szpitala, wykonać EKG i badania krwi. Możemy go potem przetransportować do miasta. Jak zajdzie potrzeba, helikopterem.

– Czy mam atak serca? – dopytywał się Shane.

– O mój Boże! – Rae znów zaczęła szlochać.

– Istnieje taka możliwość – stwierdziła lekarka spokojnie – ale trzeba to jeszcze potwierdzić. Teraz dostanie pan aspirynę, zrobimy EKG i przewieziemy pana do szpitala. Może też pan dostać środki przeciwbólowe.

– Dziękuję. Czy Rae może ze mną jechać?

– Oczywiście. – Lekarka podniosła wzrok. – Dylan?

– Słucham?

– Czy mogę cię prosić o pomoc? Mój mąż jest teraz w domu z dziećmi, a w karetce mamy jednoosobową załogę.

– Jasne. – Zawahał się na chwilę. – Jeśli Jane nie ma nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie. – Jane skinęła głową. – Spotkamy się w szpitalu.

Shane został ułożony na noszach i wniesiony do karetki. Dylan przytwierdził elektrody do piersi chorego i nałożył mu maskę tlenową. Kiedy drzwi karetki się zamykały, Jane dostrzegła jeszcze, jak Dylan przygotowuje zastrzyk dla pacjenta, zapewne z morfiny, dla uśmierzenia bólu. Jego pewne ruchy świadczyły o tym, że taka sytuacja nie jest dla niego niczym nowym. Wyglądał jak doświadczony członek zespołu ratowniczego.

W głębi duszy Jane poczuła się odsunięta poza nawias. To wrażenie pogłębiło się pół godziny później, kiedy dotarła do szpitala. Zabrało jej to tyle czasu głównie ze względu na trudności z włożeniem nosidełka i umieszczeniem w nim dziecka. W końcu pomogła jej kelnerka, patrząc na nią przy tym nieco dziwnie.

– Pani była tu w towarzystwie tego pielęgniarza, który uratował człowieka przed zadławieniem się?

– Tak.

– Myślałam, że jesteście rodziną i że to pani dziecko.

– Nie. Ja tylko... pomagam.

Ta odpowiedź trochę ją zawstydziła. Wstyd pogłębił się, gdy szła z Sophie do szpitala.

– Przepraszam, maleńka – wyszeptała na głos. – To nie w porządku, prawda? Nie wiadomo, gdzie jest twoje miejsce i kto się tobą zaopiekuje.

Jakaś kobieta, prowadząca za rękę dziewczynkę, usłyszała jej szept i uśmiechnęła się do niej z sympatią, co wprawiło ją w zażenowanie. Dalszą część rozmowy odbyła już tylko w myślach.

Kto cię będzie trzymał za rączkę, kiedy zaczniesz stawiać pierwsze kroki? Nowa mama? Jakaś szczęściara, która zdobędzie miłość Dylana?

I ciekawe, co powiedzą Sophie. Jak jej wytłumaczą inne nazwisko w metryce urodzenia. Mogła sobie to tylko wyobrazić.

Jest taka kobieta, Jane Walters. Mieszka bardzo daleko, w Nowej Zelandii. Podarowała komórkę jajową swojej najlepszej przyjaciółce, żeby mogła urodzić dziecko.

Jane niemal słyszała dziecięcy głosik Sophie, zadającej dociekliwe pytania.

A dlaczego sama nie chciała dziecka?

Pracuje jako lekarz, jest bardzo zajęta.

Wcale nie wygląda to lepiej niż przypadek jej własnej matki. A nawet gorzej, ponieważ nie odgrywałaby żadnej roli w życiu Sophie. A może Sophie znałaby ją jako „ciocię Jane”, która mieszka na drugim końcu świata i czasem przysyła kartki i prezenty? Kogoś, komu co jakiś czas wysyła się zdjęcia. Może nawet powiedzieliby Sophie prawdę.

Poznała cię, kiedy byłaś jeszcze maleńka.

To dlaczego nie chciała, żebym z nią została?

Brutalna odpowiedź zabrzmiałaby: bo nie chciała być matką, bo praca była dla niej ważniejsza. Jak poczułaby się wtedy Sophie? Jane dobrze to wiedziała.

Nie zauważyła, że łzy napłynęły jej do oczu, dopóki omal nie przegapiła skretna do szpitala. Na dodatek potknęła się o krawężnik i mało nie upadła.

Serce zaczęło jej mocniej bić, kiedy sobie wyobraziła, co się mogło stać. Co ona wyprawiała? Czyżby chciała udowodnić, że nie nadaje się na matkę? Wstrząs obudził Sophie i dziewczynka zaczęła płakać, jakby chciała powiedzieć, że zgadza się z tą opinią. Kiedy Jane weszła do holu starego szpitala, płacz przeszedł w głośne zawodzenie. Szlochy dziecka odbijały się echem od ścian i wysokiego, ozdobionego stiukami sufitu, przerywając ciszę i spokój. Jane miała ochotę zapaść się pod ziemię. W jednej z sal przylegających do holu może przecież leżeć ktoś poważnie chory.

Jednak pielęgniarka, która wyszła jej na spotkanie, uśmiechała się pogodnie.

– Domyślam się, że to mała Sophie – odezwała się. – Czekaliśmy na nią. Witaj, Jane. Jak się miewasz?

– Dobrze, dziękuję. – Kobieta wyglądała znajomo, więc Jane postanowiła zaryzykować. – Marg?

– Ile to lat cię nie widziałam? – Twarz pielęgniarki zmarszczyła się w uśmiechu. – Chyba od pogrzebu twojej mamy. – Podeszła bliżej i przyjrzała się dziecku. – Co się dzieje, maleńka? Dlaczego jesteś taka nieszczęśliwa?

– Niedawno była karmiona. Nie może być głodna.

– A pielucha? Kiedy była ostatnio przewijana?

– No, nie jestem pewna. – Dylan pewnie to zrobił przed wyjściem na spacer, czyli dawno.

– Więc pewnie o to chodzi – stwierdziła Marg. – Masz pieluchę na zmianę?

– O nie! – Jane zagryzła wargę. Kolejne potwierdzenie, że absolutnie nie nadaje się na matkę. – Zostawiłam torbę w kawiarni.

– Wcale się nie dziwię – odrzekła Marg z uśmiechem. – Podobno rozegrał się tam niezły dramat. Ale mamy pieluchy na położniczym. Mogę przewinać Sophie?

– Jeśli mogę o to prosić...

– Dla mnie to przyjemność. – Już odpinała sprzączki nosidełka. – Nie ma dziś wiele pracy, a taki maluch to sama radość.

Jakaś starsza kobieta pojawiła się w progu jednej z sal. Szła z wysiłkiem, opierając się o chodzik, i mrużąc oczy, wyjrzała na korytarz. Jej głos trząsł się równie mocno, jak ręce.

– Chyba słyszałam niemowlę?

– Tak, Enid. Mamy tu śliczną dziewczynkę. Chcesz ją zobaczyć? – Marg zerknęła na Jane. – Mogę ją pokazać? Jej widok sprawiłby radość naszym starszym pacjentom.

– Oczywiście. Wiem, że pod twoją opieką jest bezpieczna.

Marg pocałowała Sophie w czubek głowy.

– Ale najpierw zadbamy o czystą pieluszkę, prawda, maleńka? – Zwróciła się znów do Jane. – Na końcu tego korytarza znajdziesz Dylana i Jenny.

Jane minęła po drodze kilka szpitalnych sal. Wszystkie były duże i wygodne, z bezpośrednim wyjściem na werandę. Na ścianach wisiały obrazki, a w wazonach stały kwiaty. Niewątpliwie za tydzień lub dwa pojawią się tutaj świąteczne dekoracje. Panowała tu spokojna domowa atmosfera, odmienna od atmosfery macierzystego szpitala Jane. Specjalistyczne pomieszczenia wy-

glądały jednak znajomo. Nowoczesne i dobrze wyposażone, zapewne niedawno zostały dodane do starego szpitala. W jednym z nich zastała Dylana pogrążonego w ożywionej rozmowie z lekarką.

– Jak na dziesięciołóżkowy szpital jesteście doskonale wyposażeni – usłyszała, podszedłszy bliżej.

– Szkoda było zmarnować talent Drew. – Jennifer Tremaine uśmiechała się pogodnie. – Tak samo jak szkoda byłoby zmarnować twój. Myślę... – Urwała na widok Jane. – Witam! Miło mi panią poznać.

– Proszę mi mówić Jane.

– A ja jestem Jennifer. Poznałam kiedyś twoją matkę, kiedy pierwszy raz zachorowała.

– Pamiętam. Bardzo sprawnie ją zdiagnozowałaś i zorganizowałaś dalsze leczenie. Czytałam kartę choroby. Przepraszam, że nie podziękowałam za to osobiście.

– Nie ma sprawy. Zrehabilitujesz się, jeśli namówisz Dylana, żeby przyszedł do nas do pracy. Mamy za mało personelu i to przestaje być zabawne.

– Bardzo przyjemny mały szpital – odezwał się Dylan. Nagle ściągnął brwi. – A co zrobiłaś z Sophie?

– Z Sophie? – Jennifer nie wiedziała, o kogo chodzi.

Nastąpiła krótka cisza. Widocznie Dylan oczekiwał, że Jane odpowie na pytanie.

– To moja... – zaczęła, zanim cisza stała się nieznośna. Nie, nie mogła się zdobyć, by powiedzieć prawdę. – To bratanica Dylana – dokończyła gładko.

– Przyjechałeś tu z bratanicą? – zdziwiła się Jennifer. – Ile ma lat?

– Dopiero sześć tygodni.

– Ach tak! A jej rodzice? Też przyjechali?

– Nie – odrzekł cicho. – Niestety, oboje zginęli niedawno w wypadku samochodowym.

– Tak mi przykro. – Jennifer zacisnęła usta, jakby chciała się powstrzymać przed zadawaniem dalszych pytań. Dylan, widząc jej zmagania, wyjaśnił:

– Jane była przyjaciółką mojej szwagierki. Chciałem jej osobiście przekazać tę tragiczną wiadomość.

– I po to przyjechałeś tu aż ze Szkocji z maleńkim dzieckiem? Niesamowite! – W jej głosie słychać było szczerzy podziw. Dylan odpowiedział jej uśmiechem.

– A jak się miewa Shane? – zapytała Jane oschle. – Rzeczywiście był to zawał?

– Z pewnością – potwierdziła lekarka. – Podaliśmy mu tlen, morfinę i aspirynę. Wezwaliśmy pilnie transport. Pewnie słyszałaś helikopter?

– Tak. Bardzo sprawne działanie.

– Gdyby transport się spóźniał, zaczęlibyśmy leczenie trombolityczne. – Jennifer uśmiechnęła się do Dylana. – Jeszcze jeden powód, dla którego powinienes tu pracować. Niewiele osób z naszego obecnego personelu umie monitorować pacjentów po podaniu leków fibrynolitycznych.

– Ale ja przyjechałem tutaj z wizą turystyczną.

– To by się dało zmienić – zasugerowała Jennifer. – Z pozwoleniem na pracę dostałbyś wizę na co najmniej rok.

Jane nie potrafiła zdecydować, czy to dobra wiadomość. Miałaby cały rok na bliższe poznanie Sophie. I Dylana. Ale co potem?

– I tak nie mógłbym pracować, choć to bardzo kuszące. Mam pod opieką tego maluszka – wyjaśnił.

– Zapewniam, że wiele osób z radością by ci w tym pomogło. – Jennifer zerknęła na zegarek. – Muszę uciekać. Drew pewnie się zastanawia, dlaczego jeszcze nie wróciłam z zakupów.

Odprowadziła Dylana i Jane do wyjścia.

– Pomyśl o tym – zwróciła się na odchodnym do Dylana. – I zadzwoń, gdybyś miał jakieś pytania. A jeszcze lepiej wpadnij na kolację. Razem z Sophie.

Myślał o tej propozycji przez resztę dnia. Zakochał się w tym urokliwym szpitalu wśród nadmorskich wzgórz, gdzie pacjenci, zwykle dobrze znani personelowi, byli otaczani serdeczną opieką.

Jednak Jane nie odnosiła się do tego pomysłu entuzjastycznie. Wyraźnie starała się unikać jego towarzystwa. Czytała medyczne czasopisma, obcinała zwiędłe róże w ogrodzie, a potem poszła po zakupy. Dobrze chociaż, że zrobiła obiecaną jajecznicę.

– Jennifer jest urocza, prawda? – zauważył.

– Aha – odburknęła, smarując masłem kawałek chleba.– Widać, że posada lekarza rodzinnego w małej miejscowości bardzo jej odpowiada.

– Jej mąż był wysokiej klasy chirurgiem w Stanach.

– Naprawdę? I postanowił pracować tutaj?

Dylan zignorował jej lekceważące niedowierzanie.

– Dzięki niemu mają teraz gabinet rentgenowski i salę operacyjną z prawdziwego zdarzenia.

Dlaczego Jane odnosi się do jego pomysłu z taką niechęcią? Może nie chce, by Sophie pozostawała tak długo w jej pobliżu? Dzisiaj nie zdobyła się nawet na to, by się przyznać do związku, jaki ją łączy z tą małą bezbronną istotką.

Dylan spojrzał jej prosto w oczy.

– Chyba nie chcesz, żebym został tu na dłużej, co?

– Przecież i tak nie chciałbyś się tu osiedlić – odparowała bez namysłu. – Nigdy nigdzie nie zagrzałeś miejsca, więc dlaczego miałyby się to zmienić?

– Już ci mówiłem – tłumaczył cierpliwie. – Sophie potrzebuje stabilizacji, miejsca, w którym mogłaby spokojnie dorastać.

– Rozumiem. Ale dlaczego tutaj? – Odłożyła widelec, ponieważ nagle straciła apetyt. Bezwiednie zmięła w ręce leżącą na stole serwetkę.

– Dlaczego nie?

– A co z twoim ojcem? – Teraz jej głos brzmiał triumfalnie. – Będzie chciał widzieć, jak dorasta jego jedyna wnuczka.

– To prawda – potaknął Dylan. – I na pewno bardzo mu się tu spodoba. Uwielbia morze, łódzie. No i jego obecność rozwiązałyby problem opieki nad Sophie, kiedy ja byłbym w pracy.

Jane potrząsnęła głową.

– Masz pojęcie, jak trudno jest obecnie emigrować? Ty dostaniesz zezwolenie na pracę, ale twój ojciec raczej nie. A co zrobisz po upływie tego roku czy nawet dwóch? Przeniesiesz się w inne miejsce razem ze wszystkimi?

Dylan w milczeniu patrzył to na jej dłoń gniotącą serwetkę, to na twarz, po której przemykały emocje. Trudno było odgadnąć, co wyrażają jej oczy, teraz pociemniałe ze wzburzenia. Czego ona się boi? Że przywiąże się do Sophie, a on potem zabierze dziewczynkę gdzieś daleko?

– Dlaczego tutaj? – powtórzyła już spokojniej. Dylan położył rękę na jej dłoni zaciśniętej w pięść.

– Bo ty tu mieszkasz – wyjaśnił cicho. – Bo jesteś matką małej Sophie.

Ku jego zdumieniu oczy Jane wypełniły się łzami.

– Nie jestem matką – wyszeptała. – Nie potrafię.

– Nauczysz się. Pomogę ci.

– Ale...

– To się nie stanie z dnia na dzień. Jeśli się tu osiedlę, wystarczy nam czasu na wszystko.

– Ale... – Jak urzeczona patrzyła na jego rękę na jej dłoni. Gładził ją delikatnie, jakby chciał jej dodać otuchy. – Możesz nie dostać zezwolenia na dłuższy pobyt.

– Mam pomysł, jak to obejść.

– Jak? – Jane podniosła wzrok, a Dylan nie miał wątpliwości, że błysk w jej oczach jest błyskiem nadziei.

– Możemy się pobrać, słonko – rzekł z uśmiechem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Miałabym wyjść za ciebie?

– Czy to takie straszne?

– To niedorzeczne! – Wyrwała dłoń z uścisku. Uniósł brwi, kąciki jego ust opadły ku dołowi.

– Dlaczego? – zapytał rozczarowany.

– Przecież ledwie się znamy.

– Ale poznajemy się coraz lepiej. – Spojrzał na nią tak jak minionego wieczoru. Z pożądaniem w oczach. Serce Jane drgnęło, a potem zaczęło bić jak oszalałe. Jaka kobieta nie straciłaby głowy dla tak przystojnego mężczyzny? Dylan był nie tylko przystojny, ale na dodatek inteligentny, silny, a jednocześnie delikatny i wrażliwy.

– To szalony pomysł – wyszeptała.

Wolno potrząsnął głową. Wstał, obszedł stół, przysunął sobie drugie krzesło i usiadł obok niej. Znow wziął ją za rękę, ale tym razem jej nie wyrwała. Była zbyt oszołomiona.

– Jestem stryjem Sophie – powiedział cicho. – Najbliższym odpowiednikiem prawdziwego ojca.

Jane nie zaprzeczyła. Koncentrowała się na brzmieniu jego głosu, by nie myśleć o dotyku ręki.

– Jesteś jej matką – ciągnął. – Nie uważasz, że jej rodzice powinni być małżeństwem?

– Nie, jeśli się pobiorą z niewłaściwego powodu.

– A czy jest coś niewłaściwego w zapewnieniu Sophie pełnej rodziny i wspianego miejsca, gdzie mogłaby dorastać?

– No nic. – Nie potrafiła pozbierać myśli, by dać inną odpowiedź. Czuła jednak, że to nie jest cała prawda.

– Nie musimy mieszkać w domu twojej babci, jeśli to ci nie odpowiada. Mam sporo pieniędzy. Kupię inny dom, a nawet dwa. Jeden dla mnie i Sophie, drugi dla jej dziadka. Dzisiaj widzieliśmy ładny domek z napisem na sprzedaż. Niedaleko stąd.

Jane potrząsnęła głową.

– Wtedy małżeństwo mogłoby zostać uznane za związek tylko na papierze, zawarty w celu uzyskania przez ciebie prawa do pobytu w tym kraju. Natychmiast by cię deportowano.

– W takim razie będziemy musieli zamieszkać w tym samym domu – stwierdził z ledwo skrywaną satysfakcją. – Ale nie z moim ojcem. To cudowny człowiek, ale ty jesteś przyzwyczajona do samotności, więc taka duża rodzina byłaby dla ciebie nadmiernym obciążeniem.

– A więc byłoby to małżeństwo tylko z nazwy? – Nie wiedziała, dlaczego czuła dziwny ból blisko serca.

Dylan nadal trzymał ją za rękę i nie przestawał patrzeć jej w oczy, ale milczał.

Minęła sekunda, potem następna. A potem, nie odrywając od niej wzroku, Dylan pochylił się ku niej. Czuła jego oddech na twarzy, widziała niewiarygodnie długie rzęsy. Jak zahipnotyzowana zamknęła oczy, a jego usta lekko dotknęły jej ust. Szybko uniosła powieki, ale Dylan już się odsunął, chociaż wciąż na nią patrzył. W takim skupieniu, jakby chciał wniknąć w jej duszę.

Czuła, że krew pulsuje jej w skroniach, fala gorąca zalewa całe ciało, ręce i nogi stają się dziwnie bezwładne. A przecież to nawet nie był prawdziwy pocałunek.

Kiedy drugi raz przysunął się do niej, była gotowa. Być może nawet to ona wykonała ostateczny ruch. Dylan objął jej głowę dłońmi i całował ją z coraz większą siłą. Gdzieś z jej gardła wydobył się cichy jęk, ale stłumiły go jego wargi. Wsunęła palce w jego włosy, zatracając się w pocałunku. Tym razem był on mocny i namiętny. Ich języki się zetknęły. Dłonie Dylana spoczęły na jej ramionach i przesuwały się niżej, gładząc nabrzmiałe pożądaniami piersi.

Gdy w końcu się rozłączyli, spojrzeli na siebie z zaskoczeniem. Przez chwilę oboje tylko oddychali, spazmatycznie chwytając powietrze.

Nagle Dylan się uśmiechnął.

– Nie – powiedział. – To chyba nie będzie papierowe małżeństwo. Nie sądzisz?

Brakowało jej oddechu, by odpowiedzieć słowami, więc tylko potrząsnęła głową.

– Maleńka śpi – wyszeptał Dylan. – Może byśmy... – Delikatnie dotknął wargami jej ust. – Może byśmy sprawdzili, czy to małżeństwo będzie miało sens?

– Chyba powinniśmy – powiedziała z wysiłkiem. Czują, że cała drży w radosnym oczekiwaniu.

– Dobrze. – Dylan wstał, wziął ją na ręce i wniósł na piętro. Posadził ją na skraju łóżka i całował z takim zapamiętaniem, że znów jej ciało ogarnął bezwład.

– Zaraz wrócę – usłyszała nagle.

Jej mózg zaczął funkcjonować dopiero po chwili.

Gdzie się podział Dylan? Poszedł sprawdzić, co z Sophie? A może szuka prezerwatywy? Dopiero teraz do niej dotarło, że nie pomyślała o żadnej z tych czynności. A jednak czuła lekkie rozczarowanie.

Dylan nie dał się porwać namiętności tak jak ona. Pragnął jej, ale pewnie jej nie kocha. Nie chodzi mu o nią. Chce tylko spróbować, czy to małżeństwo z rozsądku będzie satysfakcjonujące dla nich obojga.

Wszystkie te myśli wywietrzały jej z głowy, gdy Dylan znów pojawił się w sypialni. Zdjął koszulkę i na dodatek patrzył na nią z tym swoim urzekającym uśmiechem, który sprawiał, że czuła się wyjątkowa i bezpieczna.

– Na czym to stanęliśmy? — zapytał.

A więc to jest prawdziwa Jane Walters. Piękna kobieta, bardziej bezbronna, niż przyznawała nawet sama przed sobą. Zobaczył to dzisiaj rano, kiedy karmiła Sophie. Dostrzegł, że potrafi kochać.

Dzisiaj mógł to odczuć osobiście. Wiedział, że nikt nigdy nie będzie w stanie dać mu tyle, ile może dać mu Jane. Musi jednak być ostrożny. Życie nauczyło ją, że to, czego najbardziej pragnie, nigdy nie jest jej dawane w pełni, więc przekonała siebie samą, że tego nie potrzebuje.

Jest to coś, co Dylan może ofiarować jej bez ograniczeń. Miłość.

Jane została już w życiu zraniona, często przez brak zainteresowania ze strony rodziców. Nie znalazła też mężczyzny, który chciałby się z nią związać. Potrzebuje czasu, żeby mu zaufać. Oboje potrzebują czasu.

A czy istnieje lepszy sposób, żeby ten czas sobie zapewnić, niż stały związek?

Sophie obudziła się, kiedy pierwsze promienie słońca zaczęły rozjaśniać mrok. Zwykle zaczynała dzień od pogodnego gaworzenia, tym razem jednak bardziej stanowczo zażądała natychmiastowej uwagi.

Dylan pocałował nagie ramię Jane i z westchnieniem wstał, żeby zająć się dzieckiem.

Jane pojawiła się w kuchni jakiś czas później. Uważnie spojrzała na Sophie.

– Nie wygląda na szczęśliwą.

– Nie. – Dylan kołysał dziewczynkę w ramionach. – Apetyt też miała niewielki. – Jane napełniła czajnik wodą. – A ty, słonko? – zapytał, gdy płacz niemowlęcia ucichł na krótką chwilę. – Jesteś szczęśliwa?

Spojrzeniem i uśmiechem udzieliła mu twierdzącej odpowiedzi. Jednak wyglądała na zmęczoną, a fałdka między brwiami świadczyła o tym, że coś zajmuje jej myśli.

– Autobus odjeżdża o dziesiątej – oznajmiła, podnosząc głos, by przekrzyczeć dziecko. – Po śniadaniu się spakuję i jeśli masz ochotę, odwieziesz mnie na przystanek.

– A może odwiozę cię do miasta? – zasugerował. – Wróciłbym po południu. Może przejażdżka samochodem uspokoi trochę małą?

Kiedy wsiadali do samochodu, Sophie nadal była niespokojna.

– Nie wydaje ci się, że jest rozpalona? – zapytał Dylan.

Jane wrzuciła torbę na tył samochodu i położyła dłoń na czole dziewczynki.

– Jest ciepła, ale chyba nie ma temperatury.

– Zaczerwieniła się.

– Bo od rana prawie ciągle płacze. Wypiła trochę mleka z tej ostatniej porcji?

– Może połowę.

– Jest grubo ubrana, a mamy całkiem ciepły dzień. Zaniknę dom, a ty zdejmij z niej niektóre ciuszki. Jeśli chcesz, to poprowadzę, żebyś miał na nią oko.

Warkot silnika i kołysanie samochodu ukołysały Sophie do snu wkrótce po tym, jak opuścili miasteczko.

– Sądysz, że to małżeństwo mogłoby się udać? –zapytała Jane po chwili milczenia.

– Znajdziemy na to sposób.

– Ale jaki? Ja nie zrezygnuję z pracy.

– Wcale tego od ciebie nie oczekuję. Twoja praca to bardzo istotna część ciebie samej.

– Naprawdę chcesz się tutaj osiedlić?

– Owszem.

– Pracując w tym szpitaliku i mieszkając w małym domu, byłbyś szczęśliwy?

– Jak najbardziej.

Jane westchnęła. Pokonywała właśnie wyjątkowo trudny zakręt na odcinku drogi spadającym ostro w dół.

– Pracuję w mieście, na specjalistycznym oddziale. Półtoragodzinny dojazd nie wchodzi w grę.

– Mogłabyś przyjeżdżać w weekendy, prawda?

Lada chwila mieli opuścić górzystą okolicę, by dojechać do miasta. Jane czuła chłodny powiew zbliżającej się codzienności.

– W większość sobót pracuję do południa. Co trzeci weekend mam dyżur. I zawsze podkreślam, że można mnie wezwać w każdej chwili, jeśli stan któregoś z moich pacjentów tego wymaga.

Dylan westchnął.

– Gdybym odwiedzała cię tylko od czasu do czasu – ciągnęła – władze wkrótce by się o tym dowiedziały. Powstałoby podejrzenie, że małżeństwo jest fikcyjne.

– Ale Sophie byłaby bezpieczna? Jako twoja córka automatycznie dostaje obywatelstwo nowozelandzkie?

– Urodziła się w Wielkiej Brytanii. – Jane potrząsnęła głową. – Z punktu widzenia prawa nie jest to takie proste. W tym tygodniu muszę skontaktować się z prawnikiem. Co będzie, jeśli za parę lat odeślą cię do domu i nie pozwolą ci zabrać Sophie?

– Nie wyjechałbym stąd. Koniec historii. Zresztą nie wymyślamy problemów.

Myśli kłębiły się w głowie Jane. Nie zauważyła, że Dylan coraz częściej odwraca się, by spojrzeć na Sophie leżącą w swoim podróżnym foteliku.

– Zatrzymaj się! Natychmiast!

Usłyszała w jego głosie kontrolowany strach, więc jak najszybciej zjechała na pobocze. Dylan wyskoczył na dwór i wyjął z samochodu Sophie. Na jej widok Jane jęknęła przerażona.

Ciałem dziewczynki wstrząsały drgawki. Oczy miała wywrócone tak, że widać było jedynie białka. Co gorsza, usta przybrały sinoniebieski kolor.

– Jest rozpalona! – zawołał Dylan.

– To pewnie napad drgawek gorączkowych – stwierdziła Sophie, dotknąwszy skóry dziecka. – Zdejmij jej kaftanik. Mam butelkę z wodą, zrobimy chłodny okład. Potrzebny będzie Paracetamol albo ibuprofen.

Po chwili konwulsje ustały, a dziewczynka zaczęła oddychać normalnie. Jane nie stwierdziła na jej ciele żadnej wysypki, która mogłaby sugerować zapalenie opon mózgowych lub wstrząs anafilaktyczny. Zniknęła również sina barwa ust. Jane ułożyła dziecko z powrotem w foteliku.

– Co robisz? – z niepokojem spytał Dylan.

– Musimy ją zawieźć do szpitala – odwarknęła.

Minutę później byli w drodze. Jane zaciskała ręce na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły jej kostki. Nie zwracając uwagi na znaki ograniczenia prędkości, pędziła przed siebie. Nie mieli czasu, by czekać na karetkę.

Drgawki gorączkowe wyglądają przerażająco, ale na ogół nie stanowią większego zagrożenia. Ale jeśli konwulsje Sophie nie są skutkiem wysokiej temperatury? Może wystąpiły jako objaw guza mózgu albo jakiegoś urazu okołoporodowego, o którym Jane nie miała pojęcia? Może życie Sophie jest zagrożone?

Sophie. Jej córki!

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Sophie Walters? – Lekarz w izbie przyjęć spojrział na nią czujnie.

– Moja córka – wyjaśniła Jane.

Dylan spostrzegł, że coś się zmieniło. Czuł to w sercu, kiedy stał w sali intensywnej opieki, trzymając na rękach Sophie. Nadal bał się o dziecko, ale fakt, że Jane wreszcie uznała dziewczynkę za swoją córkę sprawił, że strach nie był już tak paraliżujący.

Lekarz sprawnie zajął się dzieckiem, którego stan nie budził już większych obaw, ale należało wszystko sprawdzić. Do sali weszła jeszcze jedna lekarka.

– Cześć, Liz – powitał ją lekarz. – Pamiętasz Liz? – zwrócił się do Jane. – Kiedy tu zaczynałaś, pracowała na chirurgii pediatrycznej.

Jane skinęła jej głową na powitanie.

– A potem wyjechałaś do Stanów, tak?

Rudowłosa kobieta odpowiedziała skinieniem głowy.

– Widzę, że poszłaś w moje ślady i zostałam matką.

– No... tak.

– Ciąża i poród bez komplikacji?

– Tak – odrzekł Dylan.

– Pan jest ojcem?

– Nie, stryjem. Ale dużo wiem o tej ciąży i porodzie. Liz wymieniła spojrzenia z lekarzem oddziałowym.

– Czy Sophie jest adoptowana?

– Nie. Biologicznie jestem jej matką – wyjaśniła Jane.

– Urodziła ją matka zastępcza?

– Coś w tym rodzaju.

Liz przyjęła informację bez zdziwienia i zajęła się badaniem dziecka. Wypytała też o wszystkie szczegóły dotyczące jej stanu zdrowia w ostatnich dniach.

– Muszę zajrzeć do jej uszu – stwierdziła w końcu. – Czy któreś z was może ją potrzymać?

Dylan spojrział na Jane.

– Ja to zrobię – oświadczyła. Owinęła dziewczynkę w kocyk i przytuliła do siebie, jedną ręką podtrzymując główkę, by umożliwić badanie ucha.

Sophie bardzo się to nie spodobało. Wiła się i płakała, aż sama Jane znalazła się na krawędzi łez.

– To z pewnością zapalenie ucha środkowego – stwierdziła Liz. – Widzę bardzo zaczerwienione bębienki. Infekcja spowodowała gorączkę i drgawki.

– A może trzeba zrobić pełne badanie krwi? Elektroencefalogram? Tomografię? – dopytywała się Jane, nadal trzymając córkę w ramionach. Sophie dostała czkawki i pociągała nosem, ale płacz powoli cichł.

Liz z uśmiechem potrząsnęła głową.

– Myślisz teraz jak matka, nie jak lekarz. Nie obawiaj się, będziemy ją obserwować. Zobacz, już teraz, po podaniu leków przeciwzapalnych, jest spokojniejsza. Zaczniemy podawać antybiotyki. Jane, musisz napić się kawy. Zapraszam do pokoju lekarskiego. Wkrótce będę miała przerwę i już nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć, jak to dziecko zjawiło się w twoim życiu.

– A więc Liz jest chirurgiem pediatrą, tak jak ty?

– Owszem, i to bardzo dobrym. W Waszyngtonie, w szpitalu dziecięcym, zajmowała bardzo wysokie stanowisko. Tam poznała męża. Pierwsze dziecko urodziło im się trzy lata temu, drugie w zeszłym roku. Postanowili wrócić do Nowej Zelandii.

– A dlaczego pracuje na ostrym dyżurze?

– Godziny pracy jej odpowiadają. Poza tym wolała się zająć medycyną ogólną. Jej mąż też pracuje na niepełny etat, poza tym zatrudnili nianię do dzieci.

Dylan karmił właśnie Sophie w jednej z małych salek oddzielonych kotarą od reszty izby przyjęć. Podniósł wzrok i rozejrzał się dokoła.

– To dobre miejsce pracy – stwierdził.

– Chciałbyś się tu zatrudnić? – Jane siedziała obok niego, a Sophie, pijąca z apetytem mleko z butelki, trzymała ją za palec.

– Nie – odrzekł Dylan. – Wolę ten mały szpitalik w Akaroi, gdzie miałbym kontakt z różnymi dziedzinami medycyny. To byłoby dla mnie ciekawsze. No i atmosfera jest tam bardziej kameralna, zna się cały personel i pacjentów. Myślałem o tobie.

– O mnie? To raczej nie byłoby możliwe. Rezygnacja z dotychczasowej pracy byłaby zbyt

wielkim poświęceniem. Zwłaszcza gdyby zdecydowała się na to dla kogoś, kto dla niej nie chce rozważyć przeniesienia się do miasta. Dylan najwyraźniej nie czuje tego co ona. Robi wszystko ze względu na Sophie. Nie powinna mieć nadziei na coś, czego nie może od niego otrzymać. Skończyłaby tak jak w dzieciństwie. Raz po raz doznawałaby bolesnego zawodu.

I tak już ze względu na niego i Sophie wprowadziła wiele zmian w swoim życiu. Zgodziła się na małżeństwo, by zapewnić im spokojne miejsce na ziemi. Robiąc to, odebrała sobie szansę na spotkanie mężczyzny, w którym mogłaby się zakochać tak, jak kocha... Dylana.

Westchnęła ciężko. I tak nie miała szans, by spotkać kogoś takiego. Dylan jest jedyny i niepowtarzalny.

Musiała zająć myśli czymś innym, żeby nie rozplakać się w publicznym miejscu.

– Chyba nie ma już gorączki – powiedziała.

– Tak. I wypła całą butelkę mleka. – Dylan uśmiechnął się do Sophie.

– Zostaniesz na noc w mieście? – zapytała.

– To chyba nie jest konieczne. Liz ma jeszcze raz tutaj zajrzeć, ale już mówiła, że jeśli temperatura spadnie, można zabrać małą do domu. Wiem, że bardzo się o nią troszczysz, słonko, ale w Akaroi zostały wszystkie jej rzeczy. No i tam również mamy szpital niedaleko.

Po krótkim czasie przyszła do nich Liz i jeszcze raz zbadała dziecko.

– Bardzo ładnie wróciła do formy – stwierdziła. – Jestem przekonana, że przy lekach, jakie jej przepisałam, może wracać do domu. Odpowiada wam to?

– Tak – potwierdzili zgodnie. – Dzięki, Liz – dodała Jane. – Wspaniale nam pomogłaś.

Kiedy wychodzili ze szpitala, musiała jednak przyznać sama przed sobą, że wcale jej to do końca nie odpowiada. Za chwilę Dylan i Sophie odjadą, a ona wróci do swojego pustego mieszkania.

– Na pewno nie chcesz, żebym cię podrzucił do domu? – upewnił się Dylan, otwierając samochód.

– Na pewno. Przyda mi się krótki spacer. Jedź ostrożnie i zadzwoń, jak dotrzecie na miejsce.

– Jasne.

Uniósł jej twarz ku sobie i lekko pocałował w usta. Ten pocałunek przypomniawszy jej o spędzonej wspólnie nocy. Zdarzyło się to tak niedawno, a jednocześnie jak by wieki temu.

– Będziemy tęsknić – powiedział, przytulając ją do siebie.

Wzięła głęboki oddech, ciesząc się ciepłem jego ciała. Chciała zachować to wspomnienie, żeby towarzyszyło jej podczas nadchodzących samotnych

nocy. Przytuliła twarz do jego piersi, więc jej słowa zabrzmiały niewyraźnie i bardzo możliwe, że nawet ich nie słyszał.

– Ja też będę tęsknić.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tęskniła za wszystkim.

Za zapachem morza i przytulnym starym domem. Brakowało jej śpiewu ptaków, dźwięków gitary i gaworzenia Sophie, widoku uśmiechu Dylana. I uśmiechu córki. Ciągle myślała o tym, co teraz robią. Tęsknota przybrała na sile, kiedy szpital ozdobiono świątecznymi dekoracjami, a w oczach dzieci pojawił się pełen przejęcia błysk oczekiwania na Gwiazdkę.

Bardzo współczuła rodzicom małych pacjentów. Święta to czas, który rodzina powinna spędzać razem. A Dylan i Sophie są teraz jej rodziną. Mówiła sobie, że powinna się przyzwyczaić do tęsknoty za nimi. W końcu zobaczy ich w weekend, więc ból rozstania nie powinien być tak dojmujący. A jednak był.

Czasami znikał, kiedy pochłaniała ją praca albo gdy mogła dłużej porozmawiać z Dylanem przez telefon.

– Sophie czuje się świetnie – powiadomił ją pod koniec tygodnia. – Dzisiaj ostatni raz wzięła antybiotyk. Zabrałem ją do Jennifer na kontrolę.

– Czyli jest zadowolona?

– Kto? Sophie czy Jennifer? – Dylan roześmiał się, a Jane przycisnęła słuchawkę mocniej do ucha, by nacieszyć się tym dźwiękiem. – Obie są zadowolone. Zgodziłem się w środy i piątki pracować w szpitalu na drugą zmianą, od piętnastej do dwudziestej trzeciej.

– A kto się wtedy zajmie Sophie? – Nagle poczuła, że ogarnia ją dziwne uczucie. Niepokój? Zazdrość?

– Ruby, szpitalna kucharka, bardzo miła kobieta – uspokoił ją. – Niemal pokłóciła się z Marg o to, która dostąpi tego zaszczytu. – Zamilkł na chwilę. – Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie. – Zdała sobie sprawę, że mówi szczerze. Bardzo chciała, by Dylan robił to, co go uszczęśliwia. –Zadzwońeś do ojca, tak jak zapowiadałeś?

– Owszem. – W jego głosie zabrzmiała ciepła nuta. –Jest przejęty i szczęśliwy. Powiedział mi, że mama kiedyś marzyła o tym, żeby się przenieść do Nowej Zelandii. Obiecałem, że nakręcę krótki film kamerą cyfrową i prześlę mu zdjęcia przez internet, żeby sam zobaczył, jaki piękny mamy tu port i morze. I wiesz, co powiedział?

– Co?

– Że nic go nie obchodzi port, bo najbardziej chce zobaczyć maleńką Sophie.

Jane roześmiała się.

– Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. Oglądałeś ten dom na sprzedaż?

– Tak. Bardzo ładny. Nieduży, ale dobrze rozplanowany. Jutro złożę ofertę kupna.

– Wspaniale. – I rzeczywiście tak myślała. To jest kolejny znak, że Dylan myśli o osiedleniu się tu na stałe.

– Może chciałabyś go najpierw sama zobaczyć? Moglibyśmy tam pójść w sobotę.

– W weekend dyżuruję, zapomniałeś?

– Och... No tak.

Czyżby usłyszała w jego głosie rozczarowanie? A może tylko zawiódł się, że nie będzie mogła mu pomóc w opiece nad Sophie? Nie chciała jednak kończyć rozmowy.

– Rozmawiałam z prawnikiem. Powiedział, że już dziś może rozpocząć działania, żebyśmy oboje zostali wobec prawa rodzicami Sophie, ale że sprawy potoczyłyby się szybciej, gdybyśmy najpierw się pobrali.

– W takim razie zróbmy to jak najszybciej.

Jane musiała odchrząknąć, by zlikwidować nagły ucisk w gardle.

– Zajmę się tym. Pewnie załatwimy to w urzędzie stanu cywilnego?

– Nie ma mowy! – Ku jej zaskoczeniu Dylan zaprotestował. – To ma być prawdziwy ślub. W kościele.

– No tak. Powinien wyglądać autentycznie. W takim razie muszę pomyśleć o białej sukni.

– A ja poproszę ojca, żeby przywiózł mój kilt. Nigdy dotąd się nie żeniłem i nie zamierzam tego powtarzać.

Jane skinęła głową. Ona też pragnęła, by ten ślub był prawdziwy, ale zapewne z innych powodów niż Dylan.

Spędzony na dyżurze weekend okazał się bardzo pracowity. Często wzywano ją do izby przyjęć, a ponieważ dyżurowała tam Liz, Jane miała pewność, że każde wezwanie jest uzasadnione. Przy okazji mogła się przekonać, że doskonale im się razem pracuje i w kwestiach medycznych mogą mieć do siebie zaufanie.

W czasie krótkiej przerwy piły razem kawę.

– Co byś powiedziała, gdybyśmy nawiązały współpracę i podzieliły między siebie pełny etat? – zapytała w pewnej chwili Jane.

– Na pewno potrafiłybyśmy tak sobie rozłożyć obowiązki, żeby nam obu to odpowiadało – odrzekła bez namysłu Liz. – Może po dwa i pół dnia pracy w tygodnia każda? I na zmianę brałybyśmy dyżury weekendowe. Wypadałby nam wtedy jeden zajęty weekend na sześć tygodni. To nie byłoby takie złe.

– A jak poradziłybyśmy sobie z ciągłością opieki nad pacjentami?

– Przecież rozumiemy się doskonale i szanujemy swoje opinie – stwierdziła Liz. – Jestem pewna, że dobrze by nam się razem pracowało. Zastanów się nad tym.

– Na pewno się zastanowię.

Myślała o tym jeszcze w środę, kiedy postanowiła wracać do domu dłuższą drogą przez park. Coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że taki układ byłby bardzo korzystny dla wszystkich. Nadal miałyby satysfakcję z pracy, a jednocześnie mogłyby dużo czasu spędzać z rodziną.

Na dodatek, gdy szła zamyślona, zauważyła, że piękny stary dom z ogrodem tuż przy parku został wystawiony na sprzedaż. Doskonale nadałby się dla rodziny z dzieckiem. Nie zastanawiając się długo, zadzwoniła do agenta, którego telefon znalazła na tablicy informacyjnej. Z entuzjazmem zgodził się oprowadzić ją po wnętrzu i ustalił warunki transakcji.

Kiedy wróciła do domu, było już prawie ciemno. Miała poczucie, że wszystko wreszcie układa się tak, jak powinno. Postanowiła natychmiast zadzwonić do Dylana, by mu o wszystkim opowiedzieć, ale przypomniała sobie, że tego dnia dyżuruje. Musiałaby poczekać do jedenastej. A czekać bardzo nie chciała.

Kiedy niespokojnie krążyła po mieszkaniu, nagle wpadła na wspaniały pomysł. Od Akaroi dzieli ją zaledwie półtorej godziny jazdy. Sportowym samochodem pokona ten dystans nawet szybciej.

Nie było na co czekać. Chwyciła torebkę, zbiegła po schodach i z szerokim uśmiechem wsiadła do samochodu.

– Dylan! Jesteś zajęty? – zawołała Jennifer.

– Nie. Mamy dziś bardzo spokojny wieczór.

– Dostaliśmy wezwanie do wypadku. Wezmę tylko zestaw do udzielania pomocy i ruszamy. Zawiadom Marg, że wyjeżdżasz. Spotkamy się na parkingu.

Kilka minut później pędzili już drogą wśród wzgórz.

– Zadzwoił policjant, który dostał meldunek od ekipy drogowej – wyjaśniała Jennifer. – Kierowca samochodu, kobieta, sama zawiadomiła policję. Twierdzi, że nie jest ranna, ale lepiej to sprawdzić.

– Co się stało?

– Owca na drodze. Musiała gwałtownie hamować, żeby ją wyminąć. Samochód wyskoczył z drogi i uderzył w zbocze. Chyba niewiele z niego zostało. Takie nisko zawieszane sportowe wozy nie nadają się do jazdy w terenie.

– Sportowy wóz? O tej porze? – Wzmianka o sportowym samochodzie przywiodła mu na myśl Jane. Ale ostatnio wszystko przywodziło mu ją na myśl.

– Dziwniejsze rzeczy się zdarzają. W podobnych okolicznościach poznałam swojego męża. Tylko że on prowadził kombi, a nie kabriolet BMW.

BMW? Dylana przebiegł zimny dreszcz. To nie może być Jane. Przecież jest środą, a nie piątek.

Jane siedziała sama na skraju szosy. Nie była ranna, tylko oszołomiona. Policjant, który przyjechał do wypadku, zaparkował radiowóz w pewnej odległości i teraz, rozstawiał fosforyzujące słupki ostrzegawcze.

Pewnie była nieco poobijana, ponieważ czuła lekki ból, kiedy brała głębszy oddech. Drżała z zimna i zmęczenia. Dopiero teraz sobie uświadomiła, że od śniadania nic nie jadła. Na dodatek nie może sprawić Dylanowi radoszej niespodzianki. Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku, potem druga.

Nieopodal zatrzymał się samochód terenowy z migającym światłem. Wsiadły z niego dwie postacie. Kobieta i... Dylan!

Jane otarła twarz. Starła się opanować drzenie i przywołać uśmiech, kiedy się do niej zbliżył.

On jednak się nie uśmiechał.

– Jesteś ranna?

– Nie.

– Na pewno?

– Tak. Nic mi nie jest.

Ku swojemu przerażeniu spostrzegła, że wcale nie ucieszył się na jej widok. Wydawał się wręcz zły. Dlaczego? Łzy znów napłynęły jej do oczu.

– Jak mogłaś? – zapytał. – Co ty sobie wyobrażałaś? Podeszła do nich Jennifer i wypytała o jej stan.

Pomogła jej wstać i z naganą spojrzała na Dylana. Ona również nie pojmowała, dlaczego jest taki wściekły.

– Wszystko w porządku – starała się pocieszyć Jane.

– Wcale nie jest w porządku – warknął Dylan. – Mogłaś się zabić! – Nie zważał na uspokajające gesty Jennifer. – Sophie mogła stracić matkę! Pomyślałaś o tym choć przez chwilę, kiedy dla przyjemności pędziłaś sportowym autem?

– Nie. – Jane miała ochotę zwinąć się w kłębek i płakać rzewnymi łzami.

– Tak mi przykro. Powinnam być bardziej odpowiedzialna. Ruszyłam w drogę zmęczona i głodna. Powinnam pomyśleć o córeczce.

– A o mnie! – ryknął. – Nie pomyślałaś o mnie?

– Dylan! – Jennifer zszokowana patrzyła na tę scenę.

– Jak to, o tobie? – Jane nie bardzo go rozumiała.

Dylan przez długą chwilę szukał w myślach odpowiednich słów. Jego twarz nie wyrażała już złości. Jane zobaczyła na niej o wiele głębsze uczucie. Rozpacz?

– Ja mogłem cię stracić – wyszeptał w końcu. – Na litość boską, słońko. Przecież nie mógłbym bez ciebie żyć!

– Ach... – westchnęła Jennifer, nareszcie rozumiejąc, i spokojnie odeszła w stronę samochodu.

Dylan chwycił Jane w objęcia i przytulił tak mocno, jakby chciał ją zgnieść w uścisku.

– Kocham cię, Dylan – szepnęła zduszonym głosem. – Tak bardzo cię kocham...

Miłość otaczała ją zewsząd. Czuła ją, kiedy zajmowano się nią w szpitaliku na wzgórzu. Widziała ją w spojrzeniu Sophie, kiedy maleństwo obudziło się po jej przyjeździe do domu. A przede wszystkim czuła ją, gdy znalazła się znów w objęciach Dylana.

– Kocham cię, Jane. Wyjdiesz za mnie?

– Tak – roześmiała się. – Przecież już się zgodziłam.

– Owszem, ale ze względu na Sophie. A ja chcę, żebyś tego pragnęła ze względu na mnie.

– Od początku pragnęłam tego ze względu na ciebie.

– Ale ja o tym nie wiedziałem. Nie powiedziałaś mi.

– Bo sama myślałam, że chcesz się ze mną ożenić tylko po to, żebym została prawdziwą matką Sophie.

– Nie. – Patrzył na nią ze swoim cudownym, przyprawiającym o zawrót głowy uśmiechem. – Sophie była moim asem w rękawie. Bałem się, że doktor Jane Walters nie zechce się związać z włóczęgą i cyganem.

– Prawdziwa Jane Walters bardzo tego pragnie. A ty nadal jesteś włóczęgą?

– Nie. Znalazłem to, czego szukałem. Swoje miejsce na ziemi i ludzi, z którymi chcę spędzić resztę życia. Znalazłem ciebie, słonko. Czy to źle?

Pochylił się i pocałował ją w usta. Upłynęło dużo czasu, zanim znów mogła coś powiedzieć.

– To bardzo, bardzo dobrze – oznajmiła.

RS

EPILOG

Wigilia okazała się słonecznym dniem, doskonałym na ślub w małym kościółku na wzgórzu. Świeżo poślubiona pani Jane McKenzie stała na stopniach do kościoła, trzymając męża za rękę. Miała na sobie prostą białą suknię z jedwabiu, z niewielkim trenem. Jej szyję zdobił pojedynczy sznur pereł po babci. W ręce trzymała wiązanekę z białych lili. Włosy miała rozpuszczone, jak lubił Dylan. Tylko jeden kosmyk upięła do tyłu i wplotła w niego małe czerwone kwiaty pohutukawy.

Dylan miał jeden czerwony kwiat w butonierce czarnej marynarki. Jego kolor doskonale pasował do koloru tartanu McKenziech, z którego uszyto jego kilt.

Oboje prezentowali się doskonale na tle otaczającej ich zieleni wzgórz. W połyskującym w oddali morzu odbijało się błękitne letnie niebo.

Zabrzmiały ostatnie dźwięki weselnej melodii odegranej przez Angusa, ojca Dylana, na szkockich dudach. Dylan pocałował pannę młodą, pozując do fotografii, którą Angus miał umieścić na honorowym miejscu w swoim nowym domu.

Nowożeńcy zeszli ze schodów i dołączyli do grupy gości. Spojrzeli w dół, na miasteczko. Jane wiedziała, że ukryty wśród drzew stoi tam dom, który zawsze był jej przystanią i opoką. Teraz w dwójnasób odzyskał swoje dawne znaczenie. W środku stały białe wazony z kwiatami pohutukawy, a przed kominkiem zieleniła się świąteczna choinka ze złotą gwiazdą na czubku.

Miesiąc miodowy mieli spędzić w zaciszu domowym. To był świąteczny czas prezentów i radości. Doskonały start w dalsze wspólne życie. Teraz Jane nie musiała już wydzielać sobie poczucia zadowolenia. Nawet kiedy wróci do szpitalnej rzeczywistości, będzie ono jej towarzyszyć. Była tego pewna.

Miała męża i córkę.

Jakby czytając w jej myślach, z grupy gości wyszła Ruby i zbliżyła się do nich. Niosła duży wiklinowy kosz z dzieckiem, ozdobiony białym jedwabiem i kokardami w kolorach tartanu McKenziech. Marg w rekordowym czasie uszyła sukienkę dla Sophie z białego muślinu, wyszywanego w drobne czerwone kwiaty. Jane wzięła córeczkę na ręce i stojąc w objęciach męża, przytuliła ją do siebie. Ten końcowy moment uroczystości miał być hołdem złożonym pamięci Izzy i Josha.

Dzieci Jennifer i Drew postawiły przed nowożeńcami białe sześciokątne pudło. Kiedy uniosły pokrywę, z jego wnętrza wyfrunęły tuziny barwnych motyli, symbol miłości i nowego życia. Oraz wyraz pamięci o duchach najbliższych, którzy nie mogli tu z nimi być.

– Izzy uwielbiała motyle – wytłumaczyła Jane Dylanowi. – Zawsze będą mi o niej przypominały.

Wylatujące z pudła motyle utworzyły pomarańczowo–czarną chmurę. Niektóre odleciały w dał, inne unosiły się nad młodą parą. Jeden usiadł na włosach Jane, zwabiony kwiatami. Oczy Sophie zrobiły się okrągłe, a buzia zmarszczyła się w uśmiechu, który sprawiał, że serce Jane topniało. Dziewczynka wyciągnęła rączki do motyli, a Jane ze śmiechem uniosła głowę i spojrzała na Dylana.

To miała być jej ulubiona ślubna fotografia.

Motyle połyskiwały w słońcu niczym klejnoty. Twarz dziecka rozjaśniał uśmiech. Miłość wyczuwało się w powietrzu. Na dodatek powiew wiatru uniósł skraj kiltu pana młodego... w bardzo kuszący sposób.